

Przewodnik Katolicki

Ilustrowany tygodnik dla rodzin katolickich - Redaktor założyciel X. Józef Kłos, redaktor nacz. X. Fr. Forecki

Kościół skalny we wnętrzu góry św. Gerarda w Budapeszcie

O tym kościele, w którym mieści się Lourdes węgierskie, umieszczamy osobny artykuł w tym numerze. Czytelnicy nasi przeczytają go z zaciekawieniem, tem bardziej, że straż tego kościoła powierzono OO. Paulinom sprowadzonym z Polski.

Na obrazku widzimy białych OO. Paulinów szeregami schodzących z góry św. Gerarda schodami kutymi w skale. Na lewo widać otwory przepuszczające światło i powietrze do kościoła, znajdującego się we wnętrzu skały. Po jednej stronie góry znajduje się wejście do kościoła, po drugiej—klasztor OO. Paulinów.

Jest jednak przejście do klasztoru, wiedące wprost z kościoła kuty w skale chodnikiem.

Widok naprawdę niezwykły, jak niezwykły jest ten kościół skalny.



Zdrowe prawo małżeńskie obok dobrej konstytucji najdonioślejszym czynnikiem wielkości Polski

(Ks. Kardynał Prymas o rodzinie katolickiej)

Na akademii ku czci św. Rodziny, w Poznaniu Ks. Kardynał Prymas w głębokich słowach przeciwstawił katolickie pojmowanie rodziny pojmowaniu nowoczesnemu. Z tem nowoczesnym pojmowaniem rodziny chrześcijaństwo prowadzi nieugiętą walkę. Stanowisko Kościoła wywalcza też coraz większą opiekę rodzinie w państwach, nie rządzących się wolnomyślnymi czy świeckimi zasadami.

Wiele niezdrowego ziarna i zniszczenia sieje w duszach literatura, złe książki i pisma. Całą tę literaturę — mówił Ks. Prymas — cechuje wspólna dążność dogadzania człowiekowi nowoczesnemu przez uwalnianie związku małżeńskiego od ciężarów i odpowiedzialności. Małżeństwo w tem pojmowaniu to osobista sprawa małżonków, tajemnica ich osobistego szczęścia. Jak sobie to szczęście urządzają i jak je przeżyją, to nikogo nie obchodzi i żadnym moralnym prawem nie podlega. Jest więc takie małżeństwo, instytucją wygodny, nie oglądającą się na obowiązki rodziny wobec społeczeństwa, wobec państwa. Gdy się ta osobista przyjemność wyczerpie, można jej szukać w drugim, trzecim związku, bo od tego jest małżeństwo. Wedle tego pojmowania można uzasadnić każdy rozwód, każde

rozbitcie życia rodzinnego, każdy nowy ślub cywilny po cywilnym rozwodzie.

Od tego ostro odcina się katolickie pojęcie rodziny. Bronimy stanowiska, że związek rodzinny już z samego prawa przyrodzonego nakłada wybitne obowiązki społeczne i rządzi się nie jakimś osobistym pojmowaniem szczęścia lecz wyraźnymi zasadami moralnymi. W świetle zaś objawienia Bożego związek rodzinny nabiera szczególnej godności. Tu rodzina nie jest bez troską i swobodną zabawką na łonie natury, lecz świętością, obowiązkiem, odpowiedzialnością, trudem.

W uszanowaniu tej świętości, w ukochaniu tego obowiązku i trudu, w przejęciu się swą odpowiedzialnością, w ofiarnej dożgonnej służbie obu małżonków dla społecznych zadań rodziny widzi katolik swoje szczęście domowe.

Tam samolubstwo, chęć użycia, ucieczka od obowiązku, odpowiedzialności i praw moralnych — tu opanowanie, ścisła zasada moralna, radość życia, sumienie społeczne, poświęcenie się dla państwa.

Taka jest zasadnicza różnica między rodziną w pojęciu wolnomyślnem a rodziną katolicką.

Która jest zdrowsza? Która więcej społeczna i więcej państwowa?

Tylko sowiety nie wybrnęły jeszcze ze swego wrogiego ustosunkowania się do rodziny. Gdzieindziej świat polityczny obmyśla i przeprowadza celowe zarządzenia, świadczące coraz dobitniej o trosce o życie rodzinne.

Nowy rok ma podobno pozostać pamiętny w dziejach życia polskiego także przez nowe prawo małżeńskie. Niech ono będzie takie, by w dziejach kultury polskiej było pomnikiem naszej woli do życia i naszej etyki.

A co się tyczy nas katolików którzy, rościmy sobie prawo do tytułu najwierniejszych i najoliarniejszych obywateli Państwa, wyrażam wspólne oczekiwanie, że to nowe prawo, o ile się nas tyczyć będzie, uwzględni zasady naszego sumienia religijnego. Jest to możliwe i zgodne zarówno z dobrem jak i z godnością Państwa, czego dowodem jest ustawodawstwo krajów o ustrojach najzupełniej obejmujących życie obywateli i o rządach najbardziej zazdrosnych o powagę władzy państwowej. Takie prawo małżeńskie będzie obok dobrej Konstytucji bodaj czy nie najdonioślejszym czynnikiem wielkości Polski.

Z tą wiarą, z temi nadziejami wchodzimy w ten nowy rok, w rok Rodziny polskiej.

Władysław Łukasik

NAPRÓŻNO...

Choćbyś, bluźnierco, strawił nauk jądrowe,
Choćbyś zawładnął energią wszechświata,
Chociażbyś posiadał wszelkich stworzeń mądrość,
Choćbyś się nawet z piekieł siłą zbrałał —

Napróżno wstrząsnąć chcesz Boga ogromem,
Napróżno chcesz być pchnąć na ślepa koleję;
Byłeś i jesteś i będziesz „atomem“
Zawsze podległym wiecznej, Bożej woli...

Ewangelja na piątą niedzielę po Trzech Królach

zapisana u św. Mateusza rozdz. 13, w. 24—30

W on czas mówił Jezus do rzeszy tę przypowieść: Z królestwem niebieskiem jest podobnie, jak z człowiekiem, który zasiał dobre ziarno na roli swej. Ale gdy ludzie spali, nadszedł nieprzyjaciel jego, nasiał kłakolu wśród pszenicy, i odszedł. Gdy zaś zboże podrosło, i ziarnem się obsypało, wówczas ukazał się i kłakol. Przyszli więc słudzy do gospodarza i rzekli mu: Panie, czyż nie posiałeś dobrego ziarna na roli twej? Skądże więc kłakol się wziął? — A on im odparł: Nieprzyjaciół człowiek to uczynił. Słudzy zaś powiedzieli doń: Chcesz-li, abyśmy poszli i wyplewili go? Ale on odrzekł: Nie! — byście, plewiąc kłakol, nie powyrywali zarazem i pszenicy. Pozwólcie obojgu rość razem aż do żniwa; a w czasie żniwa powiem żęńcom: Zbierzcie naprzód kłakol i zwiąźcie go w snopki na spalanie, pszenicę zaś zgromadźcie do spichrza mojego.

NAUKA

W dzisiejszej ewangelji przyrównuje Zbawiciel prawdziwą wiarę do pszenicy, błędnowierstwo zaś, niedowiarstwo i bezbożność do kłakolu.

Czy kłakol a pszenica to jedno? Czy to obojętna rzecz, jakiej ktoś jest wiary albo jakie ma przekonania religijne, byle tylko żył uczciwie?! Zgóry wieje dziś wiatr, niosący takie wieści: niech tam sobie wyznaje każdy, co mu się podoba, czy talmud (jak żydzi) czy koran (jak Turcy), byle się nazywał — obywatelem polskim. A więc błąd jest mi równie miłym jak prawda? Kłakol jednak wart tyle, co pszenica?! Czemu tedy św. Paweł Apostoł upomina: choćby z nieba zstąpił anioł, gdyby innej uczył ewangelji, niech będzie wyklęty! (Gal. I, 8). Jedną jest tylko ewangelja prawdziwa, ta, której nauczał Syn Boży a którą z Jego polecenia głosi Kościół św. katolicki.

Tylko, kto sam w nic nie wierzy, może durzyć siebie czy innych stawianiem narówni wszystkich wyznań i wierzeń. My wysoko nieśmy sztandar świętej naszej wiary katolickiej, krwią najświętszą Zbawiciela i tylu męczenników okupionej i dlatego nam droższej od wszystkich skarbów świata. Niech się nikt nie obawia, żebyśmy dlatego przesładowali błędnowierców albo w życiu codziennem okazywali im, jakobyśmy się uważali za coś od nich lepsze-

go. Broń Boże! Powstrzymaj nas od tego słowa dzisiejszej ewangelji: Pozwólcie obojgu rość do czasu żniwa! Mimo różnicy przekonań religijnych z wszystkimi współobywatelami będziemy żyli w zgodzie, w poszanowaniu odmiennych ich zapatrywań. Lecz wymagać musimy nawzajem z ich strony poszanowania naszych praktyk katolickich, naszych tradycji kościelnych i obyczajów.

Aż do czasu żniwa czyli aż do sądu ostatecznego! Wtedy przyjdzie sądzić żywych i umarłych Ten, który dobre nasienie posiał na roli swej. Przyjdzie zobaczyć, co też z niego wyrosło? I przekonana się, że niewszystko było pszenicą, co wyrosło na niwie Kościoła naszego. Znajdzie w nim także niestety kłakol. I niewszystko, co poza Kościołem rosło, było kłakolem. Jak zawstydzą wtedy niektórzy błędnowiercy swoją uczciwością i prawdomównością naszą niesprawiedliwość i obłudę! Albo jak oni zawstydzą swoją wstrzeźmiwością nasze wyuzdanie w używaniu dóbr doczesnych... A może to oni (a nie my) uznani będą złota pszeniczką, którą Boski Gospodarz każe troskliwie zebrać i umieścić w niebieskich swych gumnach? X. B.

Kościół skalny w Budapeszcie

Powrót OO. Paulinów do Węgier

Każdy z Szanownych Czytelników zna zapewne dobrze OO. Paulinów z Częstochowy, z Krakowa lub z Leśnej Podlaskiej.

Ci sami OO. Paulini posiadają obecnie (od stycznia 1934) także klasztor w Rzymie, stolicy chrześcijaństwa.

A w maju ubiegłego roku, dzięki długoletnim staraniom węgierskiego społeczeństwa i duchowieństwa katolickiego, przenieśli się również do Budapesztu (czyt. Budapesztu), stol. Węgier.

Zakon OO. Paulinów powstał na Węgrzech i tam za średniowiecza doszedł do rozkwitu. W roku 1382 przeniósł się do Polski, w celu objęcia straży przy cudownym obrazie Matki Boskiej na Jasnej Górze.

Zczasem, dzięki smutnym stosunkom politycznym na Węgrzech za Józefa II, pod koniec XVIII w. przestał istnieć na ziemiach węgierskich. To też naród węgierski uważa obecnie przeniesienie się OO. Paulinów na Węgry za powrót tego zakonu do kraju, z którego niegdyś wyszedł.

Podczas tej długoletniej nieobecności Paulinów na Węgrzech rozszerzył się protestantyzm, a masoneria zataczała coraz szersze kręgi. Katolickie jednak społeczeństwo stanowi olbrzymią większość i bardzo jest gorliwe w sprawach

religijnych. Uczuło ono brak dawnych swych wodzów duchownych: OO. Paulinów.

Dlatego też katolicy, gorliwi o chwałę Bożą, postanowili sprowadzić do Budapesztu ten zakon z Polski i umieścić go w miejscu, przez Marię specjalnie wybranem — w podziemnym kościele, wykutym w górze św. Gerarda nad

Góra św. Gerarda i grota Matki Boskiej

Gdy się przechodzi z Pestu do Budy przez wspaniałą most królowej Elżbiety, przedstawia się oczom widza piękny widok na górę św. Gerarda, 130 m wysoką nad poziom Dunaju, której skaliste zbocze opada pionowo ku rzece.

Na stromym zboczu tej góry — niby jaskółcze gniazdko, przylepione do dzikiej skały — wisi klasztor OO.

Paulinów, zbudowany z białego kamienia.

Nieco na lewo, kilkadziesiąt metrów nad poziom Dunaju wznosi się olbrzymi krzyż, jaśniejący wieczorem mnóstwem lamp elektrycznych. Zwiastuje on, że musi to być święte miejsce.

Poniżej krzyża jest grota, wieczorem jasno oświetlona. W grotcie Matka Boska z Lourdes. Tłumy ludu zebrzą o łaski dla siebie i Węgier.

Zupełnie inaczej przedstawiało się to zbocze przed 1924 rokiem. Tam, gdzie dziś Marija odbiera hołd, była niewielka

grota a raczej jaskinia, w której mrokach szukali schronienia najrozmaitsi ludzie. Przekleństwa i złorzeczenia często uderzały o wydrążone ściany jaskini...



Widok na Budapeszt

Po obu stronach Dunaju rozsiadła się stolica Węgier. Z prawej strony Pest, z lewej Buda z zamkiem królewskim i górą św. Gerarda. Most królowej Elżbiety (na pierwszym planie) łączy Pest z Budą tuż koło góry św. Gerarda, w której wykuty jest kościół skalny. Zboku na lewo widać część góry.

Dunajem. Miejsce to Matka Boska z Lourdes przygotowała Sobie Sama przez Swego niezmordowanego sługę Sodalisa p. Juljusza Pfeifera, byłego wiceministra w ówczesnym rządzie węgierskim



Góra św. Gerarda

Widać ją tutaj w całej rozciągłości wraz z klasztorem OO. Paulinów. (X) Z klasztoru w głębi skały wykute przejście prowadzi do podziemnego kościoła. Wejście do niego wraz z grotą zewnętrzną znajduje się w miejscu, gdzie na szczycie skały widnieje krzyż.

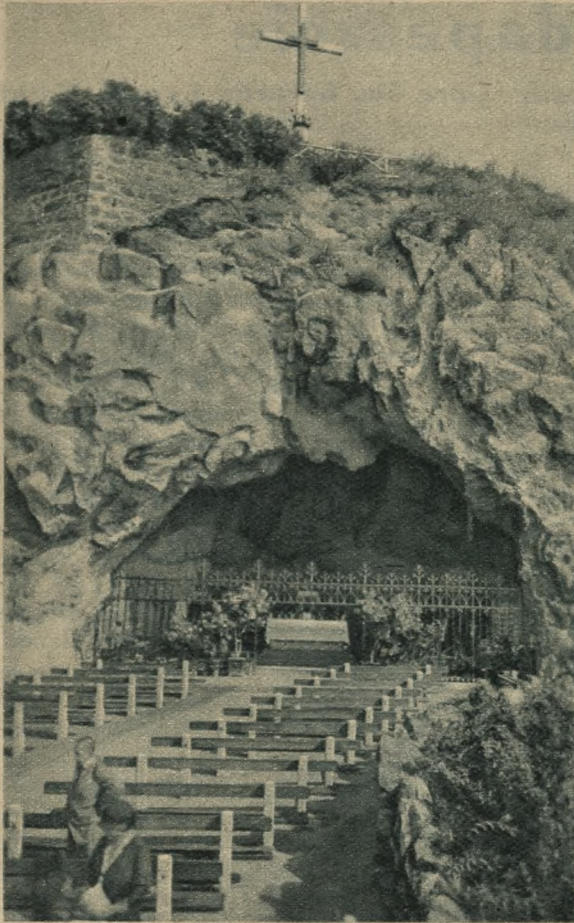


OO. Paulini na tarasie klasztoru, skąd mają piękny widok na Dunaj i Pest. W środku przeor, O. Zembrzuski.

Wyżej wspomniany p. Pfeifer, będąc w 1924 r. z Sodalacją Marjańską w Lourdes i Lompas (Hiszpanja) począł myśleć, czy i w Budapeszcie nie dałoby się urządzić czegoś podobnego na wzór grot w Lourdes.

Najpierw umieścił on w owej jaskini nad Dunajem statuetkę Matki Boskiej z Lourdes, chcąc przez to usławić to miejsce.

Od czasu do czasu wstąpił ktoś do grotki, aby się pomodlić przed figurą Matki Boskiej. Grota stawała się coraz głośniejsza i coraz częściej odwiedzana, tak, że wkrótce szczupła grota nie była w stanie pomieścić napływających tłumów.



Grota zewnętrzna kościoła skalnego. W głębi znajduje się posąg Matki Boskiej z Lourdes. Nawe wnętrz ławki i ołtarz zewnętrzny. Na górze krzyż z lampami, które goreją w nocy.

Okoliczność ta nasunęła p. Pfeiferowi myśl rozszerzenia grotty. Jednak jego chęć wykucia w górze podziemnego kościoła natrafiła na opór ze strony zarządu miasta.

Niezmordowany sługa Marji zdołał w grudniu 1924 r. zawiązać komitet budowy skalnego kościoła.

Budowa kościoła skalnego

W styczniu następnego roku z małym zaledwie funduszem, zebranych z ofiar, przystąpiono do pracy.

Najpierw rozszerzono grotę zewnętrzną, która przybrała wygląd dzisiejszy. W środku grotty ustawiono ołtarz kamienny, po prawej stronie wykuto zakrystję na szaty liturgiczne. Powyżej nad wejściem do dalszych grot ustawiono posąg Matki Boskiej Korony Węgierskiej w otoczeniu Świętych—królów Węgier. W ołtarzu umieszczono Sanctissimum. Grota otrzymała osobnego duszpasterza. Poczęły odprawiać się nabożeństwa. Góra rozbrzmiewała chwałą Marji. Plac przed grotą począł się napełniać czcicielami Marji i... ciekawymi.

Marja błogosławiła dziełu! Prowadzono dalej pracę nad dostaniem się do wnętrza góry.

Twarda dolomitowa skała z trudem ustępowała pod oskardem robotników.

Po wybiciu wąskiego na 6 m długiego kory-

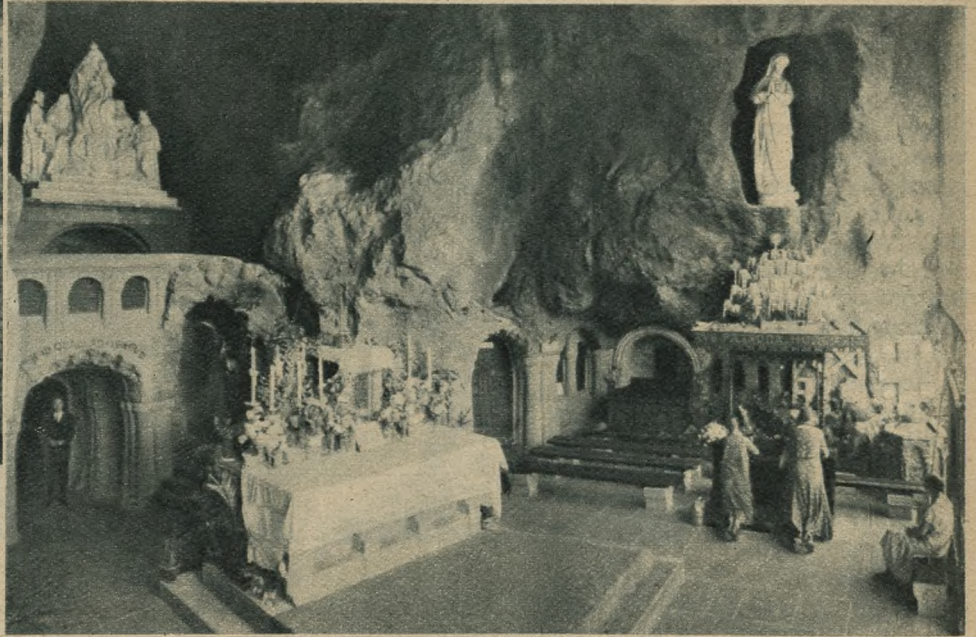
tarzyka, wykuto po dwóch latach pracy pierwszą grotę wewnętrzną, dość obszerną, której niskie sklepienie spoczywa na trzech potężnych naturalnych słupach. Między dwoma umieszczono ołtarz św. Elżbiety i... przeniesiono doń Sanctissimum z grotty zewnętrznej.

Nabożeństwa się odprawiwały. Ofiary płynęły. Praca nie ustawała nad budową Lourdes węgierskiego. Po strasznych trudach przedostano się na drugą stronę góry, na skalne urwisko,

zaczęto głosić sławę Marji. Masy ludzi brały udział w procesjach po zboczach góry i po ulicach.

Tymczasem praca nie ustawała. Za ołtarzem głównym wybito małą grotę, połączoną z grotą św. Elżbiety i z prezbiterjum głównego kościoła. W drugim końcu kościoła, na poziomie nieco wyższym, wydrążono grotę niewielką z okrągłym okienkiem w stronę Dunaju. Jest to kaplica Matki Boskiej Częstochowskiej i chór.

Dzieło było skończone. Fundatorką była sama Marja, a jej narzędziem p. Pfeifer.



Wnętrze kościoła skalnego. Pierwsza grota. Z prawej posąg Matki Boskiej z Lourdes, widzialny z zewnątrz. Niżej na lewo wejście do dalszych grot. Obok ołtarza z prawej strony wejście do zakrystji, a z lewej wejście do innych grot. Nad wejściem grupa posągowa przedstawiająca Matkę Boską, Królową Korony Węgierskiej.

gdzie dziś jest klasztor. Następnie przystąpiono do wykucia głównej grotty podłużnej, właściwego kościoła.

W roku 1930 wykończono tę grotę, 12 m długą a 4 m szeroką, z okrągłym sklepieniem na wysokości około 4 m. Późem przeniesiono Sanctissimum do głównego ołtarza.

Założono światło elektryczne. Z ambony głównego kościoła i z przed grotty

Srowadzenie OO. Paulinów

Komitet postanowił to miejsce Marji oddać OO. Paulinom. To też za fundusze, zebrane z ofiar przystąpiono w r. 1930 do budowy klasztoru, na zboczu góry, u wyjścia z głównego kościoła. Budowę poprowadził inżynier Weihinger. W r. 1933 klasztor został wykończony. Bez żadnych szczególnych funduszy stanęło dzieło gotowe, dzieło woli jednego człowieka i wysiłku ludzi gorliwych o chwałę Marji. Wszelkie sprzeciwy i trudności ze strony zarządu miasta złamała żelazna wola pana Pfeifera.

Nadszedł maj 1934 r. Uroczyste przyjęcie OO. Paulinów w Budapeszcie i objęcie przez nich nowo-wybudowanego Lourdes.

Czasopisma węgierskie rozniosły tę radosną wiadomość po całym kraju. Uosobieniem polskości i katolicyzmu stali się Paulini (po węgiersku Pálosok). Tłumy ludu wypełniły całe wschodnie zbocze góry i wszystkie grotty, Marja, cała w powodzi żarzących się świec,



Na dzwonnicy klasztornej

Pod spiczastym dachem wieży klasztoru umieszczono dzwony w lukach okiennych, aby głos ich lepiej się rozchodził. I stąd miłośnikom spoglądać na stolicę Węgier,

spogląda na swych wiernych czcicieli i błogosławi ich.

W grocie zewnętrznej wystawiono Najświętszy Sakrament. Potężne „Te Deum laudamus” uderzyło o niskie stropy grot, odbiło się od góry św. Gerarda; hen, na cały Budapest... na całe Węgry roznosząc radosną nowinę! Woń kadzidła napełniła grotę Matki Boskiej z Lourdes i wzbila się wysoko nad miasto, nad obłoki... przed tron Niepokalanej...

Chrystus w tronstancji, na tronie ołtarza objął panowanie nad Górą św. Gerarda, nad Budapestem... nad całym krajem węgierskim...

Na ambonę wszedł Prymas Węgier, Justynjan Serédi... Rozgłośniki radjowe rozniosły po wszystkich grotach i po ulicy płomienne słowa głowy katolicyzmu na Węgrzech. Ogień tych słów pada na skaliste ściany grot i zimne serca niektórych słuchaczy, którzy tylko z ciekawości znaleźli się tutaj... pada na serca czcicieli Marji, rozpalając je jeszcze większą miłością ku Jej Synowi. Niejedna łza skruchy spłynęła na twardą nagą skałę... W konfesjonalach jednała Marja z Synem zblakane owieczki. Wezwania litanji o M. Boskiej powtarzane są z głębi serca. Poczycielko stra-

pionych...! Ucieczko grzesznych...! Módl się za nami!!

„Módl się za nami” wyszło poza obręb góry i rozeszło się po chatach wieśniaczych i po możnych domach Budapestu...

Potężne: Ave, ave, ave Maria... zdają się rozrywać zbrocza góry i napełniają duszę błogiem uczuciem... Dusza Polaka przenosi się hen do... Ojczyzny, gdzie to lud w maju przed ołtarzami Marji śpiewa: Ave, ave Maria... Zdrowaś, zdrowaś Maryja!

Budapest, 8 stycznia 1935.

Stanisław Cholewiński.

WRÓCMY DO DAWNYCH EPIGRAFÓW

(KONKURS)

Mój przyjaciel, proboszcz w X. uchodził zawsze cokolwiek za oryginał! Zawsze był innym aniżeli inni. Zawsze już na ławach szkolnych odznaczał się pewną swoistością własnych poglądów i wielkim umiłowaniem historii. Przypadek zaprowadził mnie do owej miejscowości X. W kolei słyszałem, że wybudował przed laty skromne, lecz bardzo przestrzenne i nadzwyczaj miłe probostwo, że ślicznie przyozdobił kościół i w wzorowym porządku utrzymuje całą parafję.

Stanąłem tedy przed drzwiami probostwa, w którym mieszkał mój dawny przyjaciel. Po przywitaniu na progu skierowałem mimowoli oczy ku napisowi umieszczonemu nad drzwiami! Niestety łacina:

„Stet domus haec donec fluctus formica marinos
Ebibat et totum testudo perambulet orbem.”

„Czy to twoja poezja?”

„Nie moja, ale zato moja praca i mój pomysł. Gdy przed 24 laty wybudował to probostwo i gdy wszystko już było gotowe, postanowiłem swemu chałupskowi dać na drogę odpowiednie „słowo”, słowo nie bylejakie. Sądzę, że dobrze wybrałem. Rozumiesz przecież — formica — to mrówka, a testudo — to żółw, reszta tekstu nie sprawi ci chyba trudności”.

Teraz dopiero zastanowiłem się nad treścią epigrafu — tak bowiem, jak mi proboszcz, mój przyjaciel, wyjaśnił, nazywają się po-

dobne napisy na domach. Począłem tłumaczyć półgłosem:

„Więc niech dom ten stoi, dopóki żółw nie obejdzie całej ziemi, a mrówka nie wypije wody, która mieści się w głębinach morskich”.

Lecz proboszcz z pamięci lepsze wyrecytował tłumaczenie:

„Dopóki mrówka nie spije wszystkich najgłębszych mórz świata,
dopóki żółw całej ziemi nie przejdzie w leniwym pochodzie,
dopóty niechaj trwa moja rodzinna i miła chata.”

Musiałem w duszy przyznać, że wcale ładne słowo wymyślił dla swego domu mój zacny przyjaciel.

„Ładny napis i wiele mówiący! Ale czy się spełni? Czy dom twój ma stać tu wiecznie?”

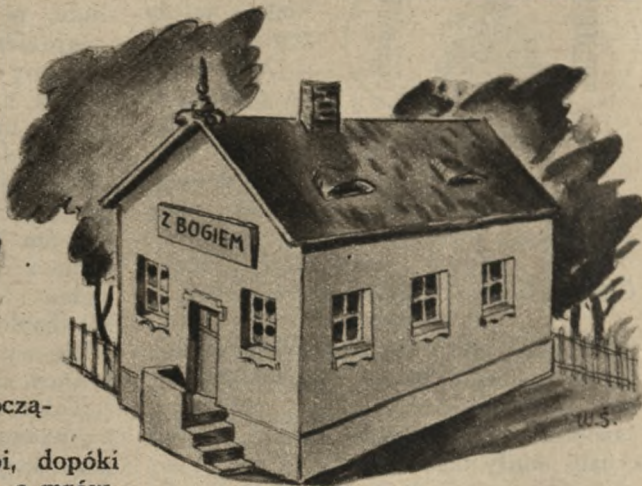
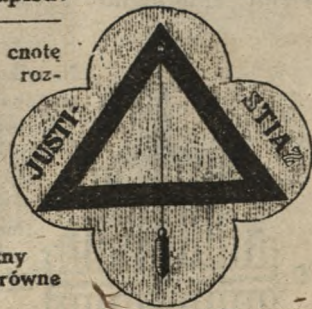
„Wiecznie i nie wiecznie! To zależy. Jeżeli przyjmujemy, że żółw w dwóch tygodniach zrobi 2 kilometry i jeżeli sobie uświadomimy, że cała ziemia nie więcej ma obwodu jak 40 tysięcy kilometrów, to łatwo wyliczyć, że dom ten ostoi się na ziemi według życzenia tego poety nie dłużej jak 384 lat, a więc nie wiecznie!



Tak zwane koło szczęścia. Obrazek, którym w dawniejszych czasach często przyozdabiano okna albo ściany domu. Koło przypominało maluczki i wielkim zmienność ziemskiego szczęścia. — Obrazek węża, wyobraża-

jący kardynalną cnotę mądrości czyli roztropności.

Obok: symbol sprawiedliwości, wyobrażony pionem, wskazującym kierunek prosty i dzielącym równoboczny trójkąt na dwie równe części.



„Dom ten jest moją własnością, a jednak przecież nie moja, Dla mego również dziedzica nie będzie on trwałą ostoją, bo po nim inny nadejdzie; po trzecim czwartym nastanie, by zmiennych losów kolejną objąć w nim panowanie. Więc jeśli życia przemiany tak krótkie jak oddech są, to powiedz mój przyjacielu, do kogo należy ten dom?”

Uważaj, jak kapitalne to pytanie w zakończeniu i jak zmusza czytającego do zastanowienia:



Więc powiedz, przyjacielu, do kogo należy ten dom?

Odpowiedzi na pytanie udzielił sam gospodarz, bo bezpośrednio nad drzwiami, cokolwiek niżej od epigrafu umieścił zdanie:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Na wieki wieków Amen.

Dziwna rzecz, jak szybko mogą zanikać zwyczaje nawet najchwalebniejsze. Dawniej domy nasze, zwłaszcza zasobne mieszczańskie domy, bardzo często miały takie napisy. I nic dziwnego. Dom mieszkalny, to przecież po kościele w parafii dom najważniejszy. W nim człowiek na świat przychodzi, w nim się wychowuje, w nim kładzie podwaliny pod swój charakter. W nim całe lata, a nieraz całe przepędza życie. Dom nasz, to królestwo naszej matki i naszej żony. W nim przeżywamy najwznieślijsze radości i największe smutki! Tu odwiedzi nas kiedyś kapłan z Panem Jezusem. Tu dadzą nam gromnicę do ręki! Tu zamknę oczy na wieczny spoczynek!

Czy dziwicie się, że ludziska taką nadzwyczajną troską otaczają swoje domostwo, swoją własność, swoją dumę? Że ją przystrajają nietylko ogrodem, malaturą i rzeźbą, ale także tą najinteligentniejszą ozdobą, jaką mieści się w pięknie i inteligentnie dobranym słowie umieszczonym na frontowej ścianie lub nad samym wejściem?

Gdy nasz poeta Jan Kochanowski wybudował sobie dom w ukochanym Czarnolesiu, jakim umiłowaniem otoczył swe domostwo, skoro tak piękne nad niem umieścił słowa i tak czule oddawał się wraz z całym domem w opiekę Bożą:

„Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje. Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje! Inszy niechaj pałace marmórowe mają I szczerym złotogłowem ściany objają, Ja, Panie, niechaj mieszkam w tym gniazdzie ojczystym, A Ty mnie zdrowiem opatr i sumnieniem czystym, Pożywieniem uczciwym, ludzką życzliwością, Obyczajami znośnymi, nieprzykrą starością”.

Kochanowski żył, jak wiadomo, od r. 1530—84. Widzimy zatem, że przyozdabiając dom swój takimi epigrafami czyli napisami, trzymamy się



zwyczaju bardzo czcigodnego. Wróćmy czempredzej do niego. Wróćmy do naszych polskich i chrześcijańskich epigrafów.

Ale teraz najważniejsze pytanie: Gdzie szukać odpowiednich epigrafów? W piśmie św., w przysłowiach ludu, w poezji i u myślicieli naszych znajdziemy prawdziwą kopalnię! Nie żałujmy trudu! Nieraz coprawda będziesz szukać lata całe, zanim znajdziesz to, co najwięcej ci odpowiada. Ale gdy znajdziesz odpowiednie, umieść je w pierw w sercu, a potem gdy szczerze ukochasz i szczerze z nim się zaprzyjaźnisz, zrobisz sobie z niego hasło na całe życie, dla siebie i dla przyszłych pokoleń. Takie hasło pójdzie za wami, gdziekolwiek wy pójdziecie, choćby na same krańce ziemi!

Takie słowo to bezustanny rachunek z własnym sumieniem! To trwała przestroga, by z raz obranej dobrej drogi życia nie zbaczać i nie iść na manowce! Nie zbudujemy Polski, jeżeli nie zbudujemy dobrego człowieka! Takie słowa, stosowne hasła umieszczane na domu dopomogą nam wychować tego dobrego człowieka!

Jak piękne jest słowo naszego domu, tego domu, w którym wychodzi Przewodnik: Usque dum vivam et ultra! Jak długo żyję i jeszcze ponadto — pragnę służyć sprawie!

Czy znacie hasło kupca z Hamburga? Navigare necesse est, vivere non! To hasło, tak często spotykane na domach w Hamburgu: Żeglowanie jest konieczne, życie nie! sprawiło, że kupiec z Hamburga stanął w pierwszym szeregu kupiectwa.

Piękne jest także hasło naszego Prymasa: Da mihi animas, caetera tolle — Daj mi dusze, wszystko inne możesz zabrać! Widzieliście także zapewne na domach Jezuickich wielkie litery A MDG?

To śliczne hasło Ignacego Loyoli A MDG (Ad Maiorem Dei Gloriam. — Wszystko na większą chwałę Bożą) nie miały stać się przyczynkiem do ogromnego rozrostu tego zakonu rycerzy Bożych, którzy tak wielkie oddali Kościołowi przysługi!

Wróćmy zatem do naszych epigrafów! Niech będą polskie! Niech będą inteligentne! treściwe! szczerze chrześcijańskie! Wysuwajmy je na czoło naszego domu! To obowiązuje tak jak mundur oficera lub herb szlachcica!

Mieć dobre hasło, to znaczy, mieć dobry kierunek życia! Mieć hasło szlachetne, to znaczy dążyć i wychowywać ku szlachetności. Mieć hasło wzniosłe i nieśmiertelne

i jego się trzymać, znaczy dążyć do nieśmiertelności tu na ziemi! — Wróćmy do dawnych epigrafów. W tym celu rozpisuje „Przewodnik” następujący konkurs:

(Ciąg dalszy na str. 87 p. t. „Konkurs”.)

KALENDARZYK LITURGICZNY

Dnia 10 lutego. Niedziela V po Trzech Królach, Lekcja mszalna, wyjęta z listu św. Pawła ap. do Kolosan (r. 3) upomina chrześcijan, aby w całym postępowaniu świecili wzorem cnót wszelkich i doskonałości chrześcijańskiej. Ewangelja głosi nam przypowieść Chrystusową o kłakolu i pszenicy (Mat. r. 13).

Dnia 11 lutego. Poniedziałek. Objawienie się Matki Bożej w Lourdes we Francji r. 1859 pobożnej wiejskiej dziewczeczce, Bernadecie.

Dnia 12 lutego. Wtorek. Śś. Założycieli zakonu Sług N. M. P. (Serwitów), we Florencji. Jednym z obowiązków głównych tego zgromadzenia jest szerzenie nabożeństwa ku czci 7 boleści M. B. (Dziś także przypada rocznica koronacji Ojca św. Piusa XI, w kościołach nabożeństwa dziękczynne.)

Dnia 13 lutego. Środa po V niedz. po 3 Kr. Msza św. w tym dniu odprawia się z niedzieli poprzedzającej lub z zmarłych.

Dnia 14 lutego. Czwartek. Ś. Walentego, kapłana i męczennika, cudotwórcy, ściegięto za wiarę w r. 270 w Rzymie.

Dnia 15 lutego. Piątek. Śś. Faustyna i Jowity, męczenników, braci, świętych w r. 120.

Dnia 16 lutego. Sobota przed 70-cq. Msza św. dziś z Niedz. VI po Trzech Królach. — Dziś kończy się radosny okres roku kościelnego, a z Nieszporami rozpoczyna się następny okres pokutny „Starym zapustem” albo „Przedpościem” zwany. Jakby na pożegnanie okresu radosnego w końcu Nieszporów celebrujący kapłan śpiewa: „Benedicamus Domino (Błogosławmy Panu), alleluja, alleluja”, na co chór odpowiada: „Deo gratias (Bogu dzięki), alleluja, alleluja”.

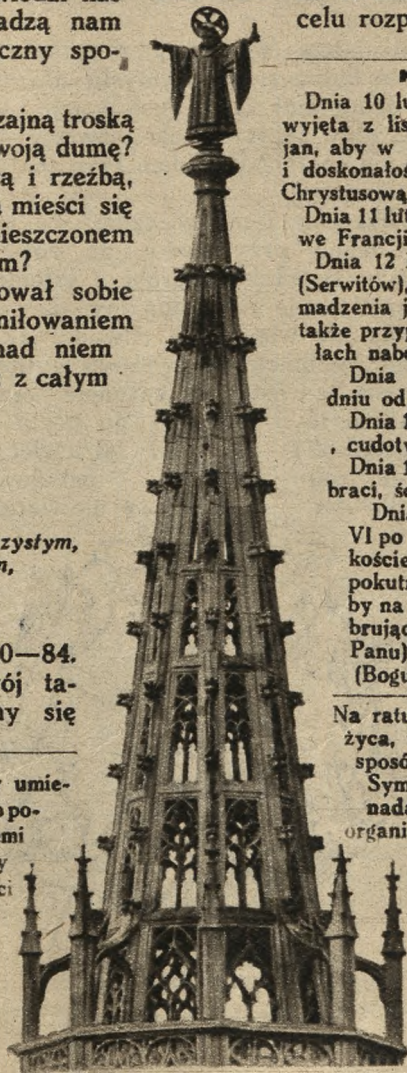
Na ratuszu w Monachjum znajduje się smukła gotycka wieżyca, unosząca na samym szczycie Dziecinę Jezus. W ten sposób całe miasto oddało się w opiekę Boskiej Dzieciny.

Symbol, przedstawiający organy, nadawałby się jako oznaka organistówki. Orzeł triumfujący

nad zmiłą przedstawia zwycięstwo dobra nad złem. U góry jeszcze jeden symbol najczęściej spotykany na naszych domach, to Oko Opatrzności Bożej.



Nietylko epigrafy czyli napisy umieszczano na domach. Bardzo często posługiwano się także odpowiednimi symbolami czyli znakami. Mamy więc symbol wstrzemięźliwości i symbol męstwa. (Obraz ognia tłumionego odpowiednim daszkiem; miecz przesłonięty herbową tarczą.)



Z życia katolickiego

Kto walczy z krzyżem? Socjaliści i różni sekciarze! W związku ze zbliżającym się terminem krajowego zjazdu katolików czechosłowackich powstała myśl ustawienia w Pradze na placu Wacława Wielkiego 30-metrowego krzyża, któryby w czasie zjazdu był odpowiednio iluminowany. Przeciwno temu projektowi rozpoczęli w pismach gwałtowną propagandę socjaliści i różni sekciarze, twierdząc, że byłoby to prowokacją ludności niewierzącej i niechrześcijańskiej.

Sprawa wzniesienia krzyża oddaną zostanie do decyzji rady miejskiej Pragi. Nienstety, rada miejska Pragi, znajduje się, jak wiadomo, w rękach socjalistów, zgóry więc można oczekiwać, że czynione będą wielkie trudności, chociaż katolicy nie zabiegają bynajmniej o postawienie krzyża i jego oświetlenie kosztem miasta.

Co słyhać w Niemczech?

W uroczystość Trzech Króli

zgromadziła Kolonia w swych murach wielką rzeszę pielgrzymów, która liczyła około 50.000 osób. Byli to robotnicy, rzemieślnicy, urzędnicy i inni ludzie pracy, którzy przybyli ze wszystkich miejscowości archidiecezji kolońskiej, a pozatem z okręgu Ruhry, zagłębia Saary i holenderskiego Limburga. Ponieważ katedra nie mogła pomieścić tak wielkich mas ludzkich, przeto w pobliżu zorganizowano równoległe drugie nabożeństwo. Do zebranych przemówił m. in. również kardynał Schulte, podkreślając obowiązek męznego przeciwstawiania się propagandzie apostazji. Zgromadzone przed katedrą tłumy zgótowały sędziwemu arcybiskupowi w chwili, gdy opuszczał świątynię, burzliwą owację.

Niemieckie ministerstwo oświaty a przymus zamawiania i odbierania pewnych czasopism. Ministerstwo Oświaty Rzeszy Niemieckiej wydało wyraźne za-

rządzenie, że pod żadnym warunkiem nie wolno zmuszać szkół lub uczniów do prenumerowania pewnych czasopism.

Trzeba jednak zaznaczyć, że mimo uroczystych zapewnień ze strony władz państwowych, życie i działalność Kościoła w Rzeszy oraz jego organizacji prawnie uznanych stale są zagrożone i stale napotyka na przeszkody. Wysuwane przeciw stowarzyszeniom katolickim

oskarżenia, jakoby wprowadzali rozłam w jedności niemieckiej, obalone zostały przez głośowanie w Zagłębiu Saary, gdzie właśnie katolicy i ich zrzeszenia miały słowo decydujące i słowem

tem dały wsparcia przykład wierności dla swej ojczyzny.

Ukaranie oszczercy.

Z Monachium nadchodzi wiadomość, że sąd w Schwäbisch Gmund skazał redaktora Karola Rohm na karę 4-miesięcznego więzienia za obrazę Kardynała Faulhabera przez rzucanie

oskarżeń o zdradę główną.

Lokalnym władzom francuskim nie wolno odtąd zabierać publicznej procesji Bożego Ciała. Zalaćwając petycję proboszcza z miejscowości Croix

KONKURS

Pragnąc wskrzesić tę piękną tradycję, „Przewodnik Katolicki“ ogłasza konkurs na najlepszy napis na froncie domu.

Warunki są następujące:

I. Jeżeli na froncie jakiegokolwiek domu spotrzeże się epigraf (t. zn. zdanie), trzeba go przepisać i z dokładnym oznaczeniem domu i miejscowości nadesłać do redakcji.

II. Epigraf można także samemu wymyśleć. Można także wyszukać go albo z Pisma św. albo z książki do nabożeństwa, albo z jakiejś innej pobożnej lub świeckiej. Wtedy jednak trzeba zaznaczyć, czy samemu się utworzyło epigraf, czy też posługiwało się jakąś książką i to jaką (wypisać autora, tytuł książki, wydanie i stronę).

Termin nadsyłania rozwiązań mija 3-go marca b. r. Należy je przysyłać na kartce pocztowej. Rozstrzygnięcie w numerze na 31 marca b. r.

Adresować jedynie: Przewodnik Katolicki, Poznań — Epigraf.

Za najlepsze rozwiązanie wyznaczamy 20 nagród: 1 — w kwocie 20 zł, 2 — w kwocie 15 zł, 3 — w kwocie 10 zł oraz 17 nagród książkowych.

Rozstrzygnięcie redakcji jest ostateczne! Zwłaszcza przy 2 największych nagrodach zastrzeżę sobie redakcja wolną rękę, jednakże tylko na wypadek ten, że konkurs poza tak zw. „sianem“ nic wartościowego nam nie przyniesie. Naszych przyjaciół i czytelników czeka trudna praca. Nie wątpimy jednak, że dla wskrzeszenia pięknej tradycji warto się potrudzić!

w departamencie Nord, francuska rada państwa wydała dekret, uchylający rozporządzenie burmistrza z Croix, na mocy którego od 28 maja 1932 roku nie wolno było urządzać we wspomnianym mieście publicznej procesji Bożego Ciała. Ta decyzja rady państwa ma doniosłe znaczenia dla całej Francji. Znalazł się zatem sposób na swobodne rozporządzenie różnych małomiejscowych manda-



Marjawici w Płocku stracili zupełnie wpływy.

Jak wygląda wyznaniowe oblicze Płocka? Mieszkańców liczy Płock 34 tysięcy.

Zwraca uwagę nikła stosunkowo liczba wyznawców marjawityzmu, którego Płock jest główną siedzibą. Biorąc pod uwagę, że całą prawie tę cyfrę stanowi personel „klasztorny“, należy wysnuć wniosek, że marjawici w Płocku stracili zupełnie swoje wpływy. Ciekawą rzeczą byłoby się dowiedzieć, skąd marjawici czerpią fundusze na utrzymanie i wyżywienie tak licznej bądź co bądź kolonii „klasztornej“. Mówi się, że władze skarbowe zwolniły przedsiębiorstwa marjawickie od podatków.

A może straca także „głowę“.

Jeden z głównych duchownych sekty marjawickiej, Przysiecki, wraz z wielką liczbą zwolenników odmówił posłuszeństwa głowie marjawitów, Kowalskiemu, skazanemu jak wiadomo na więzienie za czyny niemoralne. Kowalski wystąpił swoich zwolenników do Fabjanowa, aby buntownikom nie pozwolili odprawić nabożeństwa. Ale większość wysłanych przeszła do zbuntowanego obozu. Co więcej przy wielkim udziale uczestników odbyło się posiedzenie kapituły marjawickiej, na którym Kowalskiego złożono z urzędu. Za Kowalskim stanęły tylko jego „kapłanki“. Kowalski, który zrazu poddał się wyrokowi, potem kazał zamknąć kościół w Płocku, oświadczając, że „porozumiał się z Panem Bogiem“, który mu kazał wytrwać na posterunku“. Niewiadomo tylko, czy przeciwnicy uznają ważność tego „porozumienia“.

Nowy kościółek w Podstolicach prosi o pomoc.

W Podstolicach, w parafii Chodzież, woj. poz. uboga ludność miejscowa, złożona z osadników i robotników, wybudowała kościółek. Brak mu jednak: ornatów (czar., czerw., fiolet.), kap (czerw., ziel., fioł.), welonu, mszału, dywanu przed ołtarz, puszki, harmonjum i około 2000 zł na wykończenie budowy. Dodać należy, że w parafii jest aż 7 zborów protestanckich i 2 kaplice metodystów i baptystów. Ofiarne pomoc tem bardziej potrzebna. — Sprzęty liturgiczne uprasza się przysłać pod adresem: Probostwo rzym.-kat. w Chodzieży Wlkp., a pieniądze przez PKO nr. 206.006.



Zgadnij, co to za stworzenia?

Nasi rolnicy nie doceniają swoich przyjaciół. Niechby się tylko pojawił kret na powierzchni pola, zatłukliby go kijem lub psa na niegoby poszczuli. Gdyby mogli i gdyby znali sposób do wytrucia tych stworzeń, wnetby ich się pozbyli, a tem samem spowodowaliby wielkie spustoszenie w swoich plonach.

Czego szukają krety pod powierzchnią ziemi? Roślinami kret nie żyje, napewno żadnego korzonka nie nadgryzie. Co jednak robi? Zjada glisty i pędraki, które na korzonkach roślin się uczepiają i w ziemi się rozmnażają. Nawet myszkę polną nieraz kret schrupnie. Ile setek glist i pędraków kret wyniszczy, niech świadczy fakt, że do swego życia potrzebuje 30 kg żyw-

zawsze można porzucić, lecz korzeni roślinom przykleić nie można.

Drugim wielkim sprzymierzeńcem rolnika to kuropatwy. Za mało je szanujemy, a powinny być otoczone większą opieką i ochroną. Że i inne ptaki przynoszą wiele pożytku rolnikom, wszystkim wiadomo — a że do tych się nie strzela, więc dzisiaj dajmy im spokój a zajmijmy się tylko kuropatwami, na które myśliwi tak czyhają. Dajcie więc myśliwi spokój kuropatwom! Polujcie na inną zwierzynę. Kuropatwa bowiem jest specjalistką od wytępienia ćmy-czopówki, która chmarami całymi obsiada pola, składając pod koniec lata, a więc w sierpniu, jajeczka na roślinach. Z tych jaj już



Oto twój przyjaciel zjada pędraka.

nemi. Jeśli za trudno wam będzie kretowiny porzucić — przepędźcie tylko krety, lecz nie czasem kijem. Kret ma nadzwyczaj wrażliwy węch.

Włóżcie coś cuchnącego do nory a sam ucieknie.

Spiętrzanie

Wartość obornika zależy od sposobu obchodzenia się z nim przez rolnika.

Ogólnie znanym i dobrym jest zwyczaj przechowywania go pod bydłem. W wielu wypadkach jesteśmy jednak zmuszeni wyrzucać obornik ze stajni i przechowywać go na gnojowni, wystrzegając się przytem zasadniczych błędów.

Istnieją różne sposoby budowania gnojowni. Wspólną ich cechą są wymagania następujące:

1) Dno gnojowni powinno być nieprzepuszczalne, a więc betonowe, murowane, brukowane lub conajmniej gliną bite.

2) Dla nadmiaru gnojówki powinien być zapewniony odpływ do szczelnego i dostatecznie obszernego zbiornika. Gnojówkę wywozi się jako nawóz płynny pod rośliny lub zużywa się do zamoczenia słomy, plew, torfu i t. p. celem powiększenia ilości obornika.

3) Dla ochrony obornika przed wypłókananiem wskutek przepływu wody deszczowej powinna gnojownia być otoczona małą grobelką.

Zwykły sposób przechowywania obornika polega na układaniu równych warstw na gnojowni i na silnem udeptywaniu, dla którego można nawet na gnojowni urządzić okólnik dla bydła. Wadą tego sposobu jest jednak duże zapotrzebowanie miejsca oraz silne wypłókiwanie płytkiego stosu w czasie ulewy względnie nadmierne przesychnanie podczas upału.

W ostatnich czasach rozpowszechnił się bardzo sposób przechowywania pasz przez zakiszanie w dołach względnie t. zw. studniach lub wieżach silosowych. Podobny sposób przechowywania zaleca dla obornika znany rolnik niemiecki Krantz.



Ponieważ budowa „studni“ względnie „wież“ wypada dla obornika zbyt kosztownie — opracowano uproszczony sposób „spiętrzania obornika“, przy którym układa się zamiast płytkich warstw luźne a wysokie kostki obornika (na 60—100 cm). Kostki te zagrzewają się do 60 stopni C. i wyżej w przeciągu 3—5 dni — wówczas udeptykuje się silnie luźną kostkę, aby przerwać proces samozagrzania i układa się na niej kostkę następną, a po dalszych 3—5 dniach trzecią, później dalszą warstwę, aż do osiągnięcia wysokości „bloku obornika“ na 3—5 metrów.

W większych gospodarstwach ułatwia się pracę „spiętrzania“ przez dojazd na rampach (jak przy wagonach towarowych na kolei) lub przez założenie rusztowania wzgl. zórawia. W ten sposób powierzchnia gnojowni zmniejszy się znacznie; na 1 metrze kwadratowym zmieścimy odchody 6 do 8 sztuk inwentarza żywego.

Przez samozagrzanie się obornika ciepło 60 stopni zabija siłę kiełkowania chwastów i rozwój szkodliwych żyłatek oraz rozmiękcza włókno słomy.

obornika

Przez następujące silne i dokładne utłoczenie wywołuje się korzystne działanie rozkładowe w stosie, trwające około pięciu miesięcy, po upływie których kruchy i łatwo podzielny obornik jest gotów do wywózki.

Zwolennicy sposobu „spiętrzania obornika na gnojowni“ wymieniają następujące jego zalety: 1) Mniejsze straty suchej masy i azotu. 2) Korzystny rozkład słomy i wytworzenie się słodkiej, żywej próchnicy. 3) Łatwe rozścielenie obornika, zatem możliwość wynawożenia dwukrotnie większej powierzchni pola przy dawkach zmniejszonych (zamiast 200 centnarów podobornika świeżego na 1 hektar tylko 120 ctr. przetrawionego podobornika). 4) Mniejsze a częstsze dawki zwiększają opłacalność obornika. 5) Zmagazynowany bez strat obornik stwarza zasobność nawozową gospodarstwa i pozwala na zużycie zapasów obornika w dogodnym dla wywózki czasie.

Pasza dla drobiu z krwi

Bierze się szerokie, blaszane naczynie, napełnia je wodą do wysokości jednej czwartej naczynia i stawia na ogniu. Gdy woda zagotuje się, wlewa się świeżą, dobrze rozbitą krew, dodając na 1 litr krwi 5 gramów soli. Krew tę należy ciągle mieszać i trzymać na ogniu tak długo, aż się trochę przyrumieni. Poza tem trzeba uważać, by woda zupełnie nie wyparowała, bo krew wtedy mogłaby się przypalić.

Dlatego lepiej dodawać od czasu do czasu parę łyżek wody. Aby pasza z krwi miała smak, miesza się z krwią trochę ospy pszennej. Poza tem można dodać trochę mąki kostnej, co znacznie podnosi wartość paszy. Pasza ta jest doskonałą karmą dla drobiu w zimie. Zaleca się paszę tę zrobić na zapas, susząc ją w piecu chlebowym. Po wyjęciu z pieca rozdrobnić w młynku małym i sucho przechować. M.

Mówiące ręce

Z angielskiego przełożyła Jawnuta.

I.

W piękny dzień letni Fil Hutchinson, główny kasjer Akcyjnego Towarzystwa Chemical Trust, zstępował ze schodów swego Banku z miną zadowoloną, paląc cygaro i uśmiechając się do swych myśli. U drzwi wchodowych spotkał znajomego woźnego z Banku Barclay'a i Sp., który ocierając pot z czoła, zapytał z przerażeniem:

— Jakto, panie Hutchinson, pan już zamknął kasę?

— Naturalnie, jakże inaczej być może? Wszak już dziesięć minut po piątej, zamykam zaś kasę o piątej, o czym dobrze wiecie.

— A to dopiero nieszczęście! Dla takie; drobnostki mogą stracić posadę! Proszę sobie wyobrazić, że idąc tutaj, uczułem się nagle bliskim zemdlenia zapewne z powodu upału i musiałem usiąść na ławce w parku, a nawet zdaje mi się, że chwilowo straciłem przytomność. Przeszedłszy nieco do siebie, przybiegłem tutaj, ale, jak widzę, zapóźno!...

— Czemuż się tak martwicie? Mój dzień przyjdzie jutro.

— Co pan mówi, panie Hutchinson?! Wszak mam przy sobie pieniądze!... Osiemdziesiąt tysięcy dolarów!... Nie mogę przecież nosić takiej sumy do jutra!...

— Ależ i ja w żaden sposób nie mogę wam pomóc. Wszyscy już wyszli z naszego biura, nie mam zaś przy sobie klucza od głównej kasy, gdyż go zwykle pryncypał oddaje przed odejściem.

— Panie Hutchinson, zlituj się nade mną!... Na miłość Boską błagam pana o to! Jeżeli jutro rano nie oddam w naszym banku pokwitowania na wręczoną panu kwotę, to natychmiast mnie odprawia!

— Wszak macie przy sobie te pieniądze?

— To nic nie znaczy. Nie mam prawa nosić ich ze sobą. Wypędzą mnie, to pewne, jak dwa a dwa cztery! Cóż panu szkodzi wziąć te pieniądze, panie Hutchinson? Dasz mi pan tylko pokwitowanie i koniec.

— Lecz i ja nie mam prawa tak postąpić, mój kochany. To się sprzeciwia wszelkim przepisom, a kasy raz zamkniętej już bez kolegi otwierać nie mogę, bo nie mam drugiego klucza.

— Chcesz więc pan, żebym z żoną i z dziećmi znalazł się na bruku?

Kasjer zamyslił się na chwilę.

— Dobrze więc, zrobię wam tę usługę, chociaż niezupełnie zgodną z przepisami naszego banku, ale pamiętajcie, że to po raz ostatni.

Hutchinson zabrał zatem pieniądze i włożył je do kieszeni marynarki a napisawszy pokwitowanie na kartce wydartej z notesu, udał się do domu, myśląc o odpowiedzialności, jaką wziął na siebie. Z troską tą niekiedy, jakby na pociechę, łączyła się myśl o żonie... Nie zauważył nawet, że o kilka kroków za nim szedł ciągle jakiś człowiek.

II.

Fil Hutchinson, który już od kilku lat zajmował posadę kasjera w jednym z największych banków w Bostonie, ożenił się ze znaną artystką z Metropolitan Opera, panną Winnie

Raleigh, spotkaną przypadkiem w jednym z miejsc kąpielowych. Małżeństwo to okazało się szczęśliwym, gdyż Winnie wyrzekła się kariery artystycznej, aby wyłącznie poświęcić się obowiązkom rodzinnym i tylko od czasu do czasu brała udział w koncertach na dobroczynne cele. Przyjście na świat jasnowłosego aniołka zdawało się jeszcze bardziej utrwalac to szczęście.

Wkrótce jednak, jak grom z jasnego nieba, spadł cios niespodziewany. Pięcioletnia Daisy, przebiegając ulicę, wpadła pod samochód i po kilku godzinach okropnych męczarni skonała na ręku matki. Tragiczna ta śmierć tak podziała na zrozpaczoną Minnie, że wpadła w melan-



cholję, stan stałego ogromnego przygnębienia, którego żadne środki lecznicze usunąć nie zdołały. Naprózno lekarze dokładali wszelkich starań, aby ocalić nieszczęśliwą od zupełnego obłąkania, nie ukrywając przed stroskanym mężem całej smutnej prawdy, że główną przyczyną choroby był u chorej pani Winnie zupełny brak woli, stanowiącej tak ważny czynnik w stanach choroby duszy.

Filip Hutchinson nie szczędził niczego, co mogło ukochanej żonie przywrócić równowagę duchową. Wyjeżdżał z nią często do nieznanych okolic, dostarczał wszelkich rozrywek, ale naprózno. Nic nie mogło wyrwać jej ze stanu apatii i ciągłego przygnębienia.

Pewnego razu wyruszyli samochodem na dłuższy spacer w okolice Bostonu. Przejeżdżając przez park miejski, młoda mężatka zauważyła gromadkę dzieci z ochronki, bawiących się na polance; wśród nich zwróciła jej uwagę śliczna mała dziewczynka.

— Patrz, Filu, patrz! — zawołała nagle Winnie. — Wszak to nasza córeczka, nasza Daisy!... Oddaj mi ją, Filu!

Rzeczywiście dziecko było bardzo podobne do zmarłej dziewczynki, wyobraźnia zaś chorej dopełniła reszty.

Dozorczyńni, czuwająca nad dziećmi, na zapytanie Hutchinsona co do owej dziewczynki odpowiedziała, że jest ona sierotą i dodała:

— W zasadzie, jeżeli państwo zechcą się zobowiązać, że wychowają to dziecko, administracja naszego zakładu nie będzie miała nic przeciwko temu. Muszę jednak pana uprzedzić, że to ochronka dla głuchoniemych. Jak więc państwo będą mogli porozumiewać się z tem maleństwem? Warto dobrze się nad tem zastanowić.

Hutchinson spojrzał na żonę. Winnie zbladła, jak ściana i widocznie się



wahała. Wreszcie rzekła drżącym nieco głosem:

— Proszę przyprowadzić tu bliżej tę dziewczynkę.

Kiedy ślicznie w istocie dziecko podszedł z ufnością do Winnie i spojrzało na nią rozradowanymi oczyma, ostatnie wątpliwości młodej kobiety przysły i zawołała:

— Weźmiemy ją, Filu. Zastąpi nam ona może naszego aniołka.

Z trudnością panując nad wzruszeniem, Hutchinson zapytał dozorczynię:

— Jak się ta mała nazywa?

— Daisy Mullivan.

Winnie triumfująco spojrzała na męża.

— Widzisz, ma nawet takie samo imię, jak nasza córeczka! Samo niebo ją nam zesłało!

Odtąd oboje państwo Hutchinsonowie zabrali się z zapałem do nauki języka głuchoniemych, t. j. rozmaitych ruchów i gestów, zapomocą których ci nieszczęśliwi porozumiewają się ze sobą. Po upływie kilku tygodni mogli już „rozmawiać” płynnie ze swoją córeczką, w stanie zaś zdrowia i usposobieniu Winnie zaszła radykalna zmiana. Młoda kobieta rozkwitła pełnią szczęścia, bawiła się niemal ciągle ze swoją nową Daisy, a nawet zabrała się znowu do śpiewu i gry na fortepianie, którą zaniedbała zupełnie w czasie choroby.

III.

Tego dnia Filip, zbliżając się do swego domu, ujrzał już zdaleka żonę i małą Daisy, które nań czekały. Dziewczynka wybiegła na jego spotkanie, rzuciła mu się na szyję i wybelkotała:

— Pa...pa!

Był to jedyny wyraz, którego Winnie zdołała ją nauczyć. Hutchinson

miał zawsze łzy w oczach, ilekroć dziecko zwracało się do niego z tą pieszczotą.

— Filu — rzekła Winnie z uśmiechem — mam dla ciebie wiadomość, która cię z pewnością ucieszy. Przed chwilą telefonował do mnie prezes Towarzystwa Dobroczyńności, zapytując, czy zechcę wziąć udział w koncercie na korzyść bezrobotnych. Wszak nie masz chyba nic przeciwko temu? Muszę więc, nie tracąc czasu, zabrać się znowu do pracy. Pomyśl, że podczas choroby straciłam prawie zupełnie dawną biegłość w muzyce i zapomniałam prawie śpiewać.

Hutchinson uczuł się w siódmym niebie. Postanowienie Winnie co do powrotu do życia towarzyskiego i do dawnych studjów muzycznych świadczyło o jej zupełnym wyzdrowieniu. I cudu tego dokonała mała głuchoniema istotka! Fil spojrzął z wdzięcznością na Daisy, bawiącą się ogromną lalką, jasnowłosą, jak ona sama.

— Winnie — rzekł nagle zafasowany — mam przy sobie osiemdziesiąt tysięcy dolarów w banknotach. Trzeba je gdzieśkolwiek schować, ale dobrze...

I opowiedział żonie o swem spotkaniu z woźnym, który mu wcisnął niemal przemocą ową ogromną kwotę. Usłyszawszy to, Winnie zatroskała się z kolei na chwilę, rzuciła okiem we wszystkie kąty saloniku, szukając odpowiedniego miejsca, a wreszcie przypomniawszy coś sobie, rzekła:

— W sypialni naszej na szafie stoi stare pudło od kapelusza. Tam więc do jutra przeleżą te pieniądze.

IV.

Na przeciwległym chodniku już od dłuższego czasu stał jakiś człowiek, wpatrując się w okna mieszkania Hut-

chinsonów. Był to słynny chicagowski gangster, czyli bandyta, znany wśród swych towarzyszy pod nazwą Czarnego Johnny. Nie czując się bezpiecznym w Chicago, gdzie niedawno siedział w więzieniu za jakąś grubszą kradzież, przybył na czas pewien do Bostonu, na gościnne, jak mówił, występy i już od dni kilku czatował na odpowiednią zdobycz, dzisiaj zaś od samego niemal banku towarzyszył zdaleka kasjerowi, widział bowiem, jak woźny wręczył mu pieniądze. Teraz śledząc, co się działo w domu Hutchinsonów, zauważył, że najprzód zgłosiło światło w jadalni, potem zajaśniała lampa w saloniku i prawie jednocześnie rozległy się w sypialni dźwięki muzyki i śpiewu, którym Winnie nie chciała przeszkadzać mężowi w czytaniu gazety.

Rozejrzawszy się dokoła, Johnny przeszedł na drugą stronę ulicy, zapiał marynarkę na wszystkie guziki, zawiązał czarny krawat na szyi i ze zręcznością akrobata zaczął wspinać się na balkon, na który wychodziły drzwi sypialni.

Przy dźwiękach fortepianu Winnie śpiewała właśnie prześliczną arję Małgorzaty z opery „Faust” Gounod'a. Nagle śpiew się urwał, przerażona kobieta chciała krzyknąć, lecz zabrakło jej głosu. W oknie ukazał się dość porządnie ubrany mężczyzna z maską na twarzy. Wyciągnawszy przed siebie rękę z rewolwerem, zeskoczył on z okna i rzekł z zupełnym spokojem:

— Graj, pani, graj! Jeżeli wydasz choćby jeden okrzyk, to zabiję twego męża w tejże samej chwili, w której ukaże się na progu. Graj więc, pani, graj!.

Winnie odruchowo niemal zaczęła znowu grać jakiegoś walca, nie zdając

Mały Srulek w Polskiem Radjo

Niedawno temu w porze obiadowej słuchałem radja. Nadawano opowieść dla dzieci z stacji lwowskiej pod tytułem: Mały Srulek.

Prelegentką była pani Ada. Treść powiastki była mniej więcej taka:

Przed bramą polskiej szkoły stoi mały Srulek, biedny, sześciolatek żydek, i — oczywiście — handluje. Wprawdzie gazety zawsze upominają, by nie wysyłać małych dzieci na handel czy żebranie, ale widocznie żydowi handel jest potrzebny do życia jak rybie woda.

Żydek ma w pudełku cukierki i sprzedaje je po 5 gr. Chłopcy, wychodząc ze szkoły, otaczają go, psocą mu się i nagle — pudełko wypadło z rąk małego żydka, a cukierki rozsypały się po ziemi. Chłopcy zabrali się do zbierania, tylko je zbierali przez omyłkę nie do pudełka, lecz do własnych ust; biedny żydek zdołał uratować tylko 10 cukierków, resztę — około 40 — zjedli mu łakomi chłopcy. Nie dziw, że żydziatko popłakało się rzewnie.

Uczeń Franek miał miękkie serce, więc żał mu było płaczącego Srulka. Zgromadził kolegów, przedstawił im krzywdę małego żyda, a potem zebrał wśród nich składkę, aby żydowi krzywdę wynagrodzić. Zjedzone cukierki kosztowały 2 zł, a on zebrał 2,60 zł. Więc 60 groszy podarował Srułkowi, aby biedny żydek mógł także kupić sobie cukierków.

Ale Srulek nie kupił cukierków dla siebie, lecz kupił — nowe pudełko, mocniejsze, aby mógł lepiej handlować. A następnego dnia podarował Franek Srułkowi jeszcze swoje stare buty, a żydek cieszył się, że będzie mógł teraz dłużej stać pod szkołą i więcej sprzedąć, a chłopcy odtąd nieraz kupowali cukierki z litości nad Srułkiem.

Nie mogę niestety mówić przez radjo, jak pani Ada w Lwowie, dlatego zapomocą „Przewodnika Katolickiego” zwracam się do pocziwego Franka i kolegów jego:

— Dobrze uczyniliście, chłopcy, żeście żydkowi wynagrodzili krzywdę. Albowiem żyd też jest człowiekiem; wolę

nawet uczciwego żyda aniżeli katolika-bezbożnika. I dlatego powiadam: nie jest to po chrześcijańsku, gdy się żyda przezywa, krzywdzi lub poniewiera. I dlatego chętniebym cię, Franku, pogłaskał po jasnej czuprynie za twe uczciwe serce.

Ale teraz uważaj, co ci powiem. Dajeś Srułkowi 60 gr na cukierki. A czy ty zapomniałeś, że wiele, wiele polskich dzieci nie ma ani grosika przy duszy, nie może sobie kupić ani cukierka, ani chleba, ani soli, ani żadnej rzeczy, przymierając prawie głodem?

Dajeś Srułkowi buty swoje, a czy ty nie widziałeś biednych, obdartych dzieci polskich, którym gołe palce wychodzą z butów, a gołe łokcie z rękawów?

Skarciłeś kolegów swoich, że uczynili Srułkowi krzywdę, i słusznie postąpiłeś. Ale ja na twojem miejscu wziąłbym Srułka nabok i tak przemówiłbym do niego: „Żał mi cię, mały, że cię spotkała krzywdą. Ale na przyszły raz to ty już tu nie przychodź. Bo widzisz — tu jest polska szkoła i polscy chłopcy, więc niech sobie tutaj handluje i zarabia polski

sobie sprawy z tego, co czyni, tak da-
lece była przerażoną i oszołomioną.
Tymczasem bandyta, nie przestając
grozić jej rewolwerem, rzekł:

— Niech pani gra dalej i powie mi
jednocześnie, gdzie leżą pieniądze,
które mąż przyniósł dzisiaj z banku?
Winnie milczała.

— Po raz ostatni pytam, gdzie są
pieniądze? — powtórzył groźnie ban-
dyta.

Instynktownie niemal, nie przestając
grać, Winnie rzuciła okiem na szafę.

Spojrzenie to nie uszło uwagi zło-
czyńcy, który uśmiechnął się z zado-
woleniem.

— No, dobrze, teraz już dam sobie
radę. Nie przestawaj, pani, tylko
brzdąkać, jeżeli ci drogie życie twego
męża!

To mówiąc, zbójca wyszedł na śro-
dek pokoju i zwrócił się w kierunku
szafy.

W tejże samej jednak chwili dole-
ciał z dolnego salonu głos kasjera:

— Dość już tego grania, Winnie!
połóż się, boś z pewnością zmęczona!

Z salonu dał się słyszeć odgłos od-
suwanego gwałtownie fotela, poczem
na schodach zaskrzypiały kroki Hut-
chinsona. Złoczyńca obejrzał się do-
koła, jak osaczony zwierz, zrozumia-
wszy zaś, że każda sekunda zwłoki
może go dużo kosztować, powziął szyb-
kie postanowienie:

— Połóż się, pani — rzekł stanow-
czo — ja ukryję się za wysoką porę-
czą łóżka. Jeżeli zaś pani mię zdra-
dzisz, to zastrzelę twego męża i cie-
bie! Zrozumiano?!

Hutchinson wszedł do pokoju, nucąc
wesołą piosenkę, lecz zatrzymał się na
progu, jak skamieniały, ujrawszy na
poduszce pobladałą śmiertelnie twarz
żony. Młoda kobieta była nawpół przy-
tomna, urywane myśli bez ładu prze-
latywały jej przez głowę, nie pozwalają-
jąc powziąć żadnej stanowczej decy-
zji, od której tyle zależało. Nagle,
jakby promyk światła, zabłyśło w jej
umyśle przypomnienie przybranej có-
reczki, śpiącej spokojnie w przyległym
pokoju, i alfabetu głuchoniemych.

Podniósłszy więc ręce i układając
odpowiednio palce, Winnie tą milczą-
cą mową dała mężowi rozkaz:

— Śpiewaj, Filu, śpiewaj jeszcze
głośniej, nie przestawaj!..

Kasjer pomyślał, że żona jego do-
stała znowu obłędu i chciał już rzucić
się ku niej, aby ją uspokoić. Zatrzy-
mały go wszakże ponowne ruchy jej
palców, które tym razem oznaczały:

— Nie ruszaj się, Filu, na miłość
Boską, lecz śpiewaj, bo chodzi o ży-
cie! — mówiły jej ręce.

Hutchinson zrozumiał, że dzieje się
coś niezwykłego i fałszywym basem
zaśpiewał znowu poprzednią piosenkę,
starając się o ile możności nadać swe-
mu głosowi naturalne brzmienie. Jed-
nocześnie zapytał za pomocą mimiki:

— Co się stało?

— Za mojem łóżkiem ukrywa się
bandyta. Wie on o pieniądzech, przy-
niesionych przez ciebie i grozi, że cię
zabije, jeżeli go zdradzę: Śpiewaj więc
mój najdroższy, nie przestawaj śpie-
wać! Zaraz powiem ci głośno, żebyś

poszedł do kuchni i przyniósł mi mle-
ka... Śpiewajże, Filu!..

Nie przestając nucić, kasjer zbliżył
się do stolika i pocichutku wydobył
z szufladki rewolwer. W tejże samej
chwili rozległ się donośnie spokojny
na pozór głos Winnie:

— Mój drogi, przynieś mi proszę
z kuchni trochę mleka, bo mi strasz-
nie pić się chce!

— Dobrze, jedyna — odrzekł głoś-
no Hutchinson, a jednocześnie palce
jego gorączkowo sygnalizowały:

— Usuń się na lewo... Jeszcze tro-
chę... Jeszcze. Tak... Teraz się nie ru-
szaj!

I znowu dodał głośno:

— Zaraz przyniosę ci mleka, albo
wody z sokiem, bo ta jeszcze lepiej
gasi pragnienie. Pozwól mi tylko wło-
żyć pantofle...

To powiedziawszy, Hutchinson stanął
u nóg łóżka i pochyliwszy się nie-
co, przycisnął cyngiel i wystrzelił sześć
razy tak, żeby nie zabić, ale tylko zra-
nić i unieszkodliwić złoczyńcę. Jedno-
cześnie rozległ się straszny okrzyk
ból, poczem z pod łóżka wysunęły
się dwie nogi i napastnik upadł zem-
dlony, aby w parę godzin później zna-
leźć się w więzieniu, gdzie zasłużona
czekała go kara.

— No, Filu — odezwała się Winnie,
ochłonawszy nieco z doznanych wstrzą-
sających wrażeń — czyż nie miałam
słuszności, mówiąc, że samo niebo ze-
słało nam Daisy? Dzięki niej nauczy-
liśmy się używać alfabetu głuchonie-
mych i to nas ocaliło!

Więcej Rzeczypospolitej zależy, aby posiadała uczciwych ludzi i dobrych
obywateli, niż doskonałych mówców, poetów, matematyków, filozofów.

Konarski.

chłopiec, jaki biedny Stach albo Józek
albo Antek; ty zaś idź i handluj przed
szkołą żydowską i sprzedawaj swe cu-
kierki małym Ickom, Lejbom i Szmu-
lom.

Bo pomyśl tylko, Franku. Jako
chrześcijanin masz kochać wszystkich
ludzi, ale nie możesz kochać wszyst-
kich równo. Gdyby matka twoja zo-
stawiła ciebie i rodzeństwo twoje bez
opieki a poszła opiekować się obcemi
dziećmi, jakaby to była matka? Po-
dobnie i ty masz wpierv kochać
i wspierać braci Polaków i braci kato-
lików, a potem dopiero obcych. Bo
inaczej my Polacy zejdziemy na że-
braków, a obcy będą nad nami pano-
wać.

Tylko najgłupsze cielęta

Lecą z własnej woli w pęta.

A teraz zwracam się do pani Ady,
która wtedy przemawiała w lwow-
skim radjo. Ułożyłem tu w krótkich
słowach dalszy ciąg życia małego
Srulka. Jeżeli więc pani znowu będzie
wygłaszała powiastkę dla dzieci, niech-
że z łaski swej przeczyta dzieciom
z „Przewodnika“, co następuje (nie
chcę nawet za to żadnej zapłaty od
Polskiego Radja):

Minęło kilkanaście lat. Z małego
Srulka wyrósł wielki Srul. Ożenił się
z piękną Salcią i miał dwoje miłych
bachorków. Nie stał już teraz z pu-
delkiem u bramy polskiej szkoły, lecz
z zarobionych pieniędzy utworzył so-
bie w pobliżu sklep. Dobrze mu się
wiodło, kupowali u niego żydzi i chře-
ścijanie, bo tak już przywykli od mło-
dych lat, od czasów szkolnych. Od
dobrobytu przybyły pani Salci dwie
pulchne bródki, pan Srul zrzucił cha-
łat i przebrał się po europejsku, a dwa
bachorki chodziły do gimnazjum; je-
den miał uczyć się na doktora, a dru-
gi na adwokata.

W pobliżu miał sklep ojciec naszego
Franka. Im lepiej wiodło się Sruło-
wi, tem gorzej wiodło się jemu, aż
wkońcu musiał zamknąć swój hande-
lek, towary poszły na licytację, a wię-
kszą ich część kupił tanio sąsiad, pan
Srul. Od zgryzoty stary ojciec umarł.
Frank nie mógł znaleźć pracy, więc
poszedł w świat do Francji. Tam na-
jadł się głodu i nędzy i napił się łez
tęsknoty za ojczyzną. Siostra Zosia
została także bez dachu i bez chleba.
Więc poszła w służbę. A że pan Srul
miał dobre serce, więc dał jej miejsce
u siebie; być może, że wspominał jesz-

cze stare buty, które mu ongi darował
Frank.

Odtąd służąca Zosia sprzątała w
handlu pana Sruła, pomagała w kuch-
ni pani Salci, a za dwoma bachorka-
mi nosiła torby z książkami do szkoły,
bo chłopięta były słabe w krzyżach,
w domu zaś układała im kędzierzawe
włoski w piękne pejsy około uszu.

Minęło znowu kilkanaście lat. Star-
szy bachorek nazywał się teraz dr. Je-
rzy Zamarstynowski i miał rangę ofi-
cera w żydowskim wojsku Trumpel-
dor. Młodszy nazwał się dr. Zdzisław
Łyczakowski i miał pójść do dyplo-
macji.

A Frank zawsze jeszcze pracował
w kopalni w Francji, a Zosia zawsze
jeszcze była służącą.

Prawda, pani Ado, że moja historia
także jest bardzo zajmująca i poucza-
jąca. Będę więc czekał z niecierpli-
wością, czy usłyszę ją kiedy z ust pa-
ni, nadaną przez rozgłośnię lwowską
na wszystkie polskie stacje.

Tymczasem kłaniam się pani sta-
tecznie, Frankowi dłoń ściskam ser-
decznie, a wszystkich czytelników po-
zdrawiam grzecznie

druh z Baranowa.

Sprawy Kobięce

Jak uczynić z kuchni miłą i pogodną pracownię?

Podłoga w kuchni powinna być z takiego materiału, żeby tłuszcz i woda nie wsiąkały w nią, łatwo dająca utrzymać się w czystości, wygodna do chodzenia i nie śliska. Ściany i sprzęty w kuchni gładkie, w ładnym jednolitym kolorze i tak pomalowane, aby je łatwo było wodą zmywać. Ważnym jest także, by drzwi i okna kuchni były dobrze rozmieszczone, nie zabierały dużo miejsca i nie powodowały przeciągów z ciągłego przechodzenia. Duszna kuchnia utrudnia pracę i często powoduje katar i bóle głowy. Zwykle okienne wentyle, które dopuszczają powietrze z zewnątrz a nie

powodują przeciągów, mogą być łatwo zrobione w każdym najskromniejszym domu. Otwory ponad drzwiami są dobrym sposobem, aby powietrze przegrzane wydostawało się nazewnątrz. Każda kuchnia wymaga dużo światła w dzień, a sztucznego wieczorem. Ciemne, ponure kuchnie mogą być nierzawo przerobione na wesołe pracownie przez dodanie jednego okna, przez wstawienie szyby w drzwi wchodowe, albo nawet przez pomalowanie ścian na kolor odbijający a nie pochłaniający światła, a zatem bardzo jasny. Dostateczna ilość wody ułatwia pracę

w kuchni. Trzeba mieć przynajmniej duże naczynie do wody donoszonej czystej i dobrze urządzone zlew pod ręką.

Zawsze pod ręką powinien być wysoki stółek lub krzesło, aby zajęcie takie jak: obieranie jarzyn, zmywanie naczyń, prasowanie i t. d. można było siedząc załatwić. Wąskie półki są dogodniejsze od szerokich jako łatwiejsze do utrzymania w porządku.

Niech każda gospodyni krytycznym okiem obejrzy się po swojej kuchni, czy która z powyższych wskazówek nie dałaby się zastosować.

L. P.

Niedroga, a wykwińska potrawa

Bardzo często potrawa zupełnie tania i prosta staje się wykwińska przez odpowiednie przygotowanie jej i przez ładne podanie.

W taki ładny sposób możemy podać zwykłą, perłową, białą fasolkę — jako danie po zupie lub też na kolację. Fasolkę należy ugotować w słonej wodzie z odrobiną cukru. Dobrze jest przed ugotowaniem namoczyć ją przez parę godzin w zimnej wodzie.

Gdy fasolka już ugotowana, robimy sos w następujący sposób (proporcja na 4 osoby): 2 łyżki powidełek z pomidorów wymieszają z 1 cebulą surową utartą, z 1 marchwią utartą i kawałeczkiem utartego selera, dodać kawałeczek masła świeżego, osolić i opieprzyć



Sposób podania fasolki.

do smaku. Kto lubi może zamiast pieprzu użyć papryki. Wymieszać doskonale, aby wszystkie składniki rozłożyły się równomiernie. Następnie wymieszać fasolkę z tym gęstym sosem i układać ją w małych kamionkowych rondelkach, na muszelki lub w jedną większą terynkę.

Ewentualnie można to ułożyć na fajansowym półmisku, który znosi duże gorąco. Na wierzch układać kawałeczki świeżego masła i zapiec w gorącym piecu przez 10 min. Można przed podaniem posypać tę potrawę utartym serem parmezanem. M. Sz.

Rosół

Na rosół należy wybrać szponder, łojówkę lub krzywówkę „z kwiatem”. Można też wziąć t. zw. górę, albo też żeberka lub wreszcie łatę, ale z tych trzech ostatnich części rosół jest gorszy.

Podaję proporcje na 6 osób. 1 kg mięsa, do którego dobrze jest dodać kość ze szpikiem, zalewamy 3 l zimnej wody. Dodajemy odrazu sporą ilość włoszczyzny, dobrze oczyszczonej. (Włoszczyznę należy najpierw dobrze wymyć szczoteczką, potem oskrobać, jeszcze raz opłókać i dopiero wtedy włożyć do garnka). Bierzymy więc: 2 średnie pietruszki, 2 marchewki, kawałek selera i pora, 1 cebulę, którą dobrze jest przypiec trochę poprzednio, wreszcie dodajemy kilka ziarn pieprzu czarnego i angielskiego i oczywiście soli 1 łyżkę. Tak mięso jak i włoszczyznę należy koniecznie kłaść w zimną wodę, gdyż w gorącej wodzie zetnie się białko w mięsie, a sole mineralne, zawarte w jarzynie, nie rozpuszczają się.

Gdy już i mięso i włoszczyzna są w garnku i zalane zimną wodą, stawiamy garnek na wolnym ogniu i gotujemy przez 3 godziny. Rosół gotuje się odkryty i tak powoli, żeby zaledwie woda się poruszała. Im wolniej będziemy gotowali rosół tem będzie lepszy. Raz po raz należy z rosolu zebrać szumowiny. Na 1/2 godziny przed podaniem rosolu, można jeszcze dodać 1/4 główki włoskiej kapusty sparzonej wrzącą wodą. Przed podaniem należy rosół przecedzić przez gęste sito, a oczka tłuszczu, czyli t. zw. „pożłotę” starannie zebrać i zachować. Dodać do rosolu drobnutko usiekanej pietruszki lub koperku i podać rosół dobrze ciepły. Rom.

Ułatwiamy sobie pranie!

Naogół każda gospodyni myśli ze strachem o dniu, w którym odbyć się ma pranie. Jest to dla niej zazwyczaj wielki wysiłek. Jednakże każdą pracę można sobie ułatwić, trzeba się tylko umiejętnie do tego zabrać. Powyższe ilustracje przedstawiają nam dwa sposoby uproszczenia sobie roboty przy praniu. A więc praktyczną wyżymaczkę, lecz całkiem prostą, którą wykona z łatwością każdy kowal. Składa się ona z haczykowatego kawałka żelaza przymocowanego śrubą do brzeżu balji.

Pozatem należy używać do powieszenia białizny dwóch sznurów w ten sposób rozmieszczonych, żeby kosz z białizną można ustawić w środku. Dalej, aby uniknąć uciążliwego przenoszenia białizny i męczącego schylania się zaleca się wstawić kosz z białizną do wózka dziecięcego.

Mądra gospodyni może sobie zaoszczędzić dużo pracy, stosując się do praktycznych rad i wskazówek.



Dr. H.

J E G O S Y N

Czarna postać na fotelu pochyliła się nagle, jakby na ziemię upadając... krople wody ściekały z przemoczonego ubrania na podłogę, jak wielkie ciężkie lzy.

— W karty przegrał...

Stara panna za głowę się chwyciła.

— Kary Bożej na tego gałgana niemal...

Stefan nagle przed ciotką stanął.

— Ciociu, jak można!...

Nad siedzącą w fotelu pochylił się, uniósł ją, usadził wygodniej, a potem zapytał głosem przyciszonym, pełnym niesłyszanej tkliwości:

— Proszę się nie martwić... jakoś się załatwi! Na ile są te weksle?

Upiorna twarz w obramowaniu zlepiionych kosmyków podniosła ku niemu oczy przekrwione, na dnie których zapalała się iskra lekceważenia:

— Co pan... naco panu ta wiadomość? co pan może?...

— Mogę! — uśmiechnął się trochę zakłopotany Stefan i dodał, jakby się tłumacząc: — bo tam, w Australji... bo na tym kawałku, co rodzice kupili... właśnie to cioci chciałem opowiedzieć, więc na tym kawałku znalazła się ruda — o! już dosyć dawno! jakoś tak dobrze poszło, prawie od razu staliśmy się bardzo, ale to bardzo bogaci...

Burza oddalała się powoli, żegnając świat ostatnimi gniewnymi porykami grzmotów. I wicher się uspokoił, tylko deszcz płakał jeszcze nieustannymi strugami.

Kobiety zdrętwiały. Panna Zofja stała jak słup soli, wpatrzona w siostrzeńca szeroko otwartymi oczami. Pani Ela jedno tylko słyszała, z jednego zdawała sobie sprawę: on chce, on może Władka ratować.

Wyszeptala nieśmiało:

— Trzeba dużo... bardzo dużo... i to zaraz...

Uśmiechnął się. wyjął z kieszeni książeczkę czekową.

— Ilekolwiek jest, zapłacę. Ale zapłacić to nic, trzeba chłopaka ratować. Ja wiem, ja rozumiem... napatrzyłem się na takich tam, na drugiej półkuli: jak na słabego trafi, takiego, co nic nie robi, to złe wpływy, złe towarzystwo... Syn pani zawinił, ciężko zawinił... ale jest młody... no, i Czarkowski.

Wyprostował się z dumą.

— Ja też jestem Czarkowski! więc wiem, więc wierzę, że u mojego kuzyna to chwilowe zapomnienie, słabość charakteru, ale że grunt jest, musi być szlachetny...

Pani Ela ze drżeniem nań patrzyła.

— Więc jak pan robi?

— Gdzie jest ten lichwiarz? — zapytał Stefan.

Zatrzęsa się.

— Wrócił do Warszawy, powiedział, że zaczeka do jutra wieczór, a potem... potem...

Urwała, zasłoniła twarz rękami. Stefan z nieopisaną dobrocią pochylił się nad nią.

— Proszę się nie martwić, jutro rano będę w Warszawie, przed południem sprawa będzie załatwiona. A teraz odprowadź panią do domu. Poco ma kto wiedzieć o tych strasznych rzeczach, prawda? A przed drogą jeszcze jeden kieliszek koniaku!

Krzętał się, poił nieszczęśliwą, otulał w przyniesiony płaszcz nieprzemakalny. Dała sobą powodować jak dziecko, nie spuszczała zeń śmiertelnie zmęczonych oczów. W pewnej chwili pochwyciła go za rękę...

— Paniel ale pan zrobił... napewno? Odpowiedział:

— Przysięgam na pamięć matki.

Nieziemski blask twarz mu rozjaśnił. Uwierzyła. Odruchowo schyliła głowę i usta do ręki jego przycisnęła.

— Dziękuję.

Zmieształ się tak strasznie, że nieomal lzy mu w oczach stanęły. Obejrzał się bezradnie na ciotkę: podeszła, objęła bratową w pół.

— Idź, Eluś, połóż się, śpij spokojnie, Stefek się wszystkim zajmie.

Niepohamowany triumf zadźwięczał w jej głosie.

Stefan ujął panią Elę pod ramię i wyprowadził przed ogród. Wlokła się przy nim ostatkiem sił.

Panna Zofja została sama: przez chwilę śledziła ich postacie, wsiąkające w zadeszczoną głąb nocy, poczem z ciężkiem westchnieniem rzuciła się na fotel.

Siedziała chwilę bez ruchu. Czula się śmiertelnie zmęczona, ale też nie pamiętała, aby nią kiedy takie przejścia wstrząsnęły. Ten Stefan! To skryty dopiero! Tyle czasu... i nic nie mówił... Uśmiech nieopisanego błogości rozchylił usta starej panny, ale zaraz ustąpił przed wyrazem srogości i wstrętu. Władek! co za wstyd! co za hańba! oto są skutki...

Głośne ziewnięcie usta jej rozwarło i przerwało tok myśli. Podniosła się zwolna, ocieźlała.

— Trzeba iść spać! — wymruczała.

Stała chwilę niezdecydowana, wzrok jej padł na rozwartą księgę rachunkową. Pokrywały ją wizerunki poszarpanych skał, dzikich wodospadów, jakichś niesłyszanych lasów i gąszczów... patrzyła chwilę z pobłażliwym uśmiechem.

— Australskie widoczki... nawet wcale niezłe... no, niech sobie smaruje!

Machnęła wspaniałomyślnie ręką i poszła do swojego pokoju.

— — — — —
Malańka stacyjka drzemała spokojnie w promieniach zachodzącego słońca. Brukowany podjazd był zupełnie pusty, otaczające go stare kasztany rzuciły nań wielkie, dziwacznie powykręcane cienie. Leżał za nimi bezkresny obszar pól, miejscami porosły żółtawą ściernią, miejscami czerniący się świeżo zoraną rolę — długie szeregi mendi zbożowych złociły się na niej. Soczysta zieleń liści buraczanych i więcej szara kartoflanej naci zamykała horyzont.

Panowała zupełna cisza i spokój. Nie widać i nie słychać było nikogo, tylko nawpół sennie ćwierkanie wróbli dawało się słyszeć w kasztanowych koronach.

Wewnątrz stacyjnego budynku rozległ się ostry dzwonek telefonu, potem głos ludzki — drzwi się otworzyły i na mały peron wyszedł, rozpaczliwie ziewając, osobnik w poplamionym kolejowym mundurze — w jednej osobie ekspedytor, bagażowy i trażarz.

Z okna wychyliła się ku niemu głowa łysa jak kula bilardowa, która w ukośnych promieniach słońca rozblysłła jaskrawą, trochę żółtawą bielą.

— Mędrzyk! hej Mędrzyk! czy mleko z Rozprzy już przywieźli? — zaskrzeczał pan zawiadowca, pan kasjer i telegrafista w jednej osobie.

— Jeszcze nie, proszę łaski pana naczelnika! — odkrzyknął zapytany.

Łysa czaszka cofnęła się z cichym pomrukiem irytacji, okno się zatrzasnęło — znowu zapanowała głęboka cisza. Mędrzyk stał na peronie na szeroko rozkraczonych nogach, gapiąc się przed siebie z doskonałą obojętnością i pracowicie a dokładnie dłuźbiąc w nosie. Na horyzoncie ukazał się przezroczysty pióropuszek dymu — ciemniał, rósł, rozległ się coraz bardziej potężniejszy szum i łoskot — zaczęła ciężka sylwetka lokomotywy, wlokącej za sobą długi łańcuch wagonów.

Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej ożywiła się zamarta stacyjka: ukazał się na peronie pan naczelnik, ukrywający łysinę pod imponującą czerwienią urzędowej czapki, nogi Mędrzyka zbiegły się w doskonałą pararewę, pracowity palec opuścił stanowisko w nosie a małe oczki wpatrzyły się intensywnie w nadjeżdżający pociąg. Jak zpod ziemi wyrosło paru żydków, jednocześnie zaturkotało i na podjeździe ukazał się koszykowy wolancik, w którym siedziała wyprostowana panna Zofja, z niepokojem oglądająca się na nadjeżdżający pociąg. Spasiony gniadosz sędził flegmatycznego truchta, oganiając się od much. Panna Zofja trzymała wprawdzie bat w ręku, ale pomimo zdennerwowania nie śmiała faworyta uderzyć.

— Mógłby się biedaczek zgrzać — myślała troskliwie.

Przed stację zajechała równo z pociągiem. Odetchnęła z ulgą, ściągnęła lejce i już stępa skierowała konia w cień pod kasztany.

— Niech sobie tu odetchnie! — miłośnie głaskała wzrokiem lśniący spasiony zad koński.

Słychać było głosy ludzkie, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek. — Z budynku stacyjnego wyszło paru żydków, kilka bab z koszami, między nimi zajaśniała wysoka sylwetka Stefana z neseserem w ręku. Przystanął, rozglądając się — współpasażerowie mijali go, z cichym pogwarem roztapiając się w coraz gęstniejącym mroku letniego wieczoru. Rozległo się sapanie lokomo-

tywy, z początku powolne, potem coraz szybsze i pociąg ze stukiem i szumem zaczął się wytaczać ze stacji.

— Stefek! Stefek! — zawołała panna Zofja.

Zywo się ku niej odwrócił.

— O ciociu! Jaka kochana!

Jednym skokiem przebył dzielącą ich przestrzeń i rzuciwszy nesesor na dno wolanciku usiadł obok starej panny i ręce jej na powitanie ucałował. Spojrzała mu w oczy.

— No i?...

Kiwnął głową.

— Załatwił me.

Odetchnęła głęboko.

— Dzięki Bogu!

Więc nie będzie plamy na pocziwem nazwisku Czarkowskich, więc nie będzie potrzeba się wstydić za wnuka powstańca Hilarego, za pra i praprawnuka tych, co w glori męczeńskiej do grobu za ojczyznę się kładli!...

Chwyciła siostrzeńca za szyję.

— Stefek! to dzięki tobie!

Oddał jej uścisk, ale głową potrząsnął.

— Nie, ciociu, to dzięki mojemu ojcu. To on majątek zrobił, on mi zawsze powtarzał: Pamiętaj, Stefek, zawniłem wobec rodziny, wobec Wielopola — tobie zostawiam obowiązek spłacania moich długów!...

Dwie wielkie łzy spłynęły po twarzy panny Zofji.

— Mój Heniek kochany!

Wzniosła oczy ku błękitowi nieba, które coraz bardziej ciemniało. Przez rozłożyste kasztanowe gałęzie przeleciało ciche westchnienie wietrzyku, jakby szepł z zaświatów.

Pierwszy z zamyślenia obudził się Stefan. Wyprostował się i odbierając lejce starej pannie, powiedział:

— Ale my tu gadu, a ja muszę, ale to koniecznie muszę być dzisiaj w Wielopolu!... Ciocia rozumie!... co się

tam z tą biedaczką dziać musi! Wysiądę na skrzyżowaniu dróg!...

Panna Zofja potrząsnęła głową.

— Pojadę z tobą — oświadczyła krótko.

Po chwili dodała z pewną nieśmiałością:

— Ale nie pędź bardzo, dobrze? i nie bij gniadosza!... on tego niezwyčajny!... i pamiętaj, że on od czasu do czasu lubi stępa!...

Stefan w uśmiechu błysnął zębami.

— Dobrze, ciociu, będę pamiętał.

Jechali szeroką, piaszczystą drogą, po obu stronach której cicho szumiły brzozy. Białe pnie mocno w mroku świeciły. Od pół sły upajające zapachy zoranej ziemi, ściętego zboża, kwitnącej koniczyny. Padała rosa i wilgotną pieszczotą muskała zamyśloną twarz jadących. Od czasu do czasu gdzieś daleko rozlegało się szczekanie psa albo poryk bydła, od okrytych mglistą powłoką łąk przelatywał wrzask nocnego ptaka wraz z chłodnym wilgotnym powiewem. Monotonny sypek szelest piasku, przesypanego spokojnym truchtem gniadosza towarzyszył myślom podróży.

Skręcili na brukowaną drogę — turkot wolancika padł jak zgrzyt w wieczorną ciszę. Stefan drgnął, poprawił się na siedzeniu:

— Dojeżdżamy.

Panna Zofja milczała. Oto dom rodzinny — i uratowany!... położyła rękę na dłoni siostrzeńca, a z serca jej wyrwała się bezgłośnie dziękczynna modlitwa.

Zajechali przed obszerny staroświecki dwór. Na ich spotkanie wyszedł służący, wyraźnie zdumiony tak późnemi odwiedzinami. Stefan wyskoczył. Panna Zofja rzekła, odbierając mu lejce:

— Ja tutaj na ciebie poczekam.

Skinął głową.

— Czy jest pani? — zapytał służącego.

— Jest, proszę jasnie pana.

W tej chwili w drzwiach wejściowych ukazała się pani Ela. Była prawie równie blada jak poprzedniej nocy w Zosinku. Nienaturalnie rozszerzone oczy wbiła w przybysza z rozpaczliwym, obłąkanym pytaniem. W zapadającej ciemności bielą jej ręka, kurczowo framugi uczipiona. Stefan ujął drugą, zwieszoną jej dłoń i do ust podniósł. Wzrok jego pobiegł z głęboką litością ku tej umęczonej macierzyńskiej twarzy.

— Najmocniej przepraszam za nasienie o tak niesamowitej porze — mówił banalnym towarzyskim tonem, błysnąwszy okiem ku ciekawie nadsluchującemu lokajowi — ale cały dzień byłem w Warszawie, gdzie miałem bardzo ważny interes!...

Szczupła ręka, uwięziona w jego dłoni, nagle zlodowaciała.

— Załatwiłem go pomyślnie, najzupełniej pomyślnie!... — powtórzył raz jeszcze z przyciskiem — absolutnie pomyślnie.

Postać w czerni zachwiała się nagle, pochyliła jakby upaść miała — podtrzymał ją nieznacznym ruchem ręki.

— A teraz chciałbym się zobaczyć z panem Władysławem. Właściwie moja wizyta jest do niego. Czy można?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do służącego:

— Poproś młodego pana.

Lokaj zniknął w głębi mieszkania. Stefan pochylił się ku bezwładnie o framugę opartej postaci.

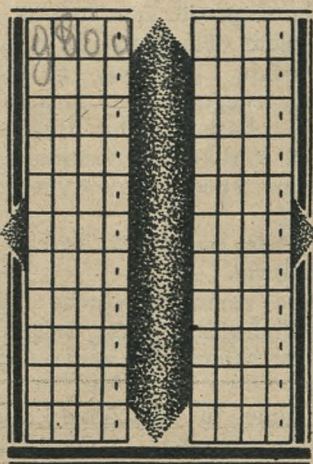
— Spokoju, odwagi! Weksle mam w kieszeni!... synowi pani nic już nie grozi.

Ujął ją pod ramię i z niesłychaną pieczołowitością do salonu wprowadził.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZRYWKI PRZY RODZINNYM STOLE

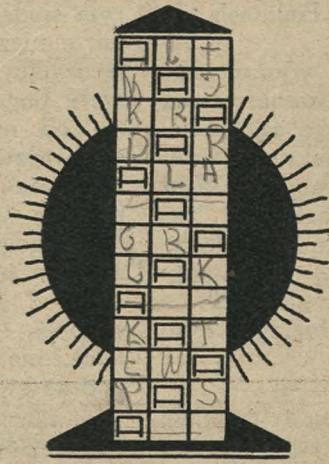
Logogryf



Odgadnąć 22 poziomo czytanych wyrazów (w każdej figurze po 11). Oznaczone rzędy pionowe dadzą rozwiązanie.

1. Niedostatek.
2. Otwór w ścianie.
3. Kłoda.
4. Okrycie domu.
5. Płyn.
6. Zakończenie modlitwy.
7. Niewiele.
8. Powiew wiatru.
9. Kwiatostan.
10. Ptak.
11. Skorupki.
12. Sterta.
13. Ściga.
14. Pociński.
15. Tłuszcz rybi.
16. Stukanie.
17. Przygania.
18. Słupy drewniane.
19. Miejsce zeszyte.
20. Worki, torby.
21. Przyrząd do ogrzewania.
22. Szczątki rozbitego muru.

Uzupełnianka



Puste kratki uzupełnić literami i odgadnąć 13 wyrazów o podanym znaczeniu:

1. Rodzaj głosu.
2. Miesiąc.
3. Bryła lodu.
4. Podarunek.
5. Zdrobniałe imię żeńskie.
6. Skorupiak.
7. Zabawa.
8. Służy do pieczętowania.
9. Papuga.
10. Oprawca.
11. Pierwsza matka.
12. Bicz.
13. Część dramatu.

Zaczynając od kółka czarnego wpisać wyrazy o wspólnych początkowych, względnie końcowych literach. Początek wyrazów w polach oznaczonych kółkami.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej usta. 2. Drogi materiał. 3. Sprzęt domowy. 4. Awansowanie. 5. Kanapa. 6. Szpilka. 7. Samochód. 8. Broń. 9. Spalony węgiel. 10. Miasto w Polsce. 11. Przeglądający się. 12. Konie zaprzęzione do wozu.

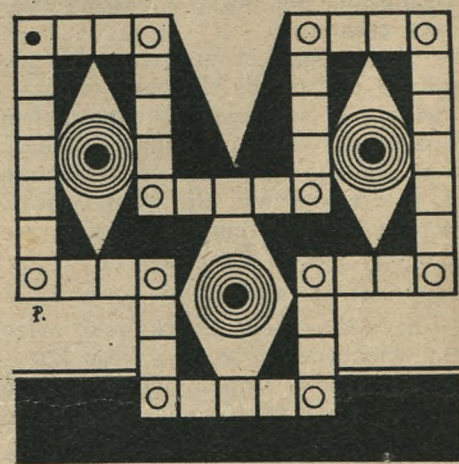
Figura magiczna



Odnaleźć 3 wyrazy, które można czytać poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej człowiek. 2. Duży kawał drewna. 3. Daszek u czapki (wspak).

Wiązanka



Rozwiązania z n-ru 4.

Łamigłówki: 1. Oheblować. 2. Bród. 3. Świątynia. 4. Malarstwo. 5. Mleć. 6. Rota. 7. Kłęb. 8. Chorągwie.

Zagadki: Choroba.

Krzyżówki zimowej: Poziomo: 1. Brew. 3. Chmara. 5. Ochł. 7. Do. 8. L. l. 11. Mi. 12. Makaron. 14. Atak. — Pionowo: 2. Wozownia. 3. Chałupka. 4. Agnieszka. 6. Lew. 7. Dzik. 9. Len. 10. Pupa. 13. On.

Rebusika: Miasto (M-I-A-STO).

Krzyża: 1. Konnica. 2. Bandaże. 3. Światło.

Z TYGODNIA: Hitler o Polsce

Najrozleglejsza działalność

Ze wszystkich ministerstw najrozleglejszą działalność prowadzi ministerjum spraw wewnętrznych. Pomyślmy tylko, że ono sprawuje jakby „rządy wewnętrzne” nad krajem z pomocą 16 wojewodów i 264 starostów; że jemu podlega policja (złożona z 29366 osób), że w jego zarządzie jest Korpus Ochrony Pogranicza, a nadzór nad samorządem, nad czystością, nad budową domów, nad cenami i wiele innych nadzorów należy do ministerstwa spraw wewnętrznych. Wydatki jednak tegoż zmniejszają się: jeszcze kilka lat temu wynosiły 250 milionów, teraz spadły na 197. Spadła też liczba urzędników podległych temu ministerstwu o kilkaset, policji zaś w porównaniu z r. 1926 jest mniej o 5 tysięcy.

Czy bezpiecznie w kraju?

Gdy mowa o policji, to pierwsze pytanie, jakie się nasuwa, brzmi: czy bezpieczeństwo kraju jest należyte? Minister spraw wewnętrznych pułk. Kościalkowski uważa, że „ogólny stan bezpieczeństwa nie uległ pogorszeniu”, a „kradzieże, rabunki zwyczajne i w bandzie, oraz morderstwa w bandzie wykazują pewien nieznaczny spadek”.

Policja

Jaki jest stosunek policji do ludności? Posłowie z opozycji lewicowej skarżą się na bicie ludzi przez policjantów. Jeden z posłów dał ministrowi „obfity materiał” w tym względzie. Ten materiał minister „bardzo szczegółowo” zbada. W r. ubiegłym na 1082 sprawy o pobicie sądy rozpatrzyły 626; w jednym wypadku zapadł wyrok skazujący policjanta, 6 zaś policjantów zostało wydalonych ze służby.

Dobór trudny i zmuśny

A jaki jest stosunek władzy krajowej do ludności?

Czy wszyscy starostowie są odpowiedni? Narzekali na nich posłowie ze stronnictwa narodowego, ludowego i socjalistycznego. Mówili, że starostowie nie cieszą się zaufaniem ludności. Na to minister: „Nie mogę twierdzić, żeby wśród 264 starostów nie było takich, którzyby powinni być zmienieni... Dobór 264 ludzi o tym zasięgu władzy i tej możliwości działania jest rzeczą niesłychanie trudną i musi wymagać całych lat”.

Słówko o wyborach

Co do wyborów samorządowych, to socjalista poseł Bień twierdził, że „większość starostw popelniała nadużycia wyborcze”. Minister przeciwnie uznał, że „większość zarzutów (o nadużyciach) nie jest słuszna”, tylko „tu i ówdzie nie dało się uniknąć pewnych niedociągnięć”. Natomiast z samorządu zostali usunięci ludzie, pracujący „pod wpływem stronnictw i działaczy politycznych” (opozycyjnych).

„Najdrażliwsze zagadnienie”

„Najdrażliwszem bodaj zagadnieniem” nazwał minister Berezę. Co mówiła o niej posłanka Pełowska ze stronnictwa narodowego, nie wiemy, gdyż jej mowa została skreślona z protokołu komisji sejmowej i nie podana dziennikarzom nawet w streszczeniu. Wiemy, co mówił minister. Otóż on zaprzeczył zarzutom posłanki: „Jest bardzo łatwo podawać do wiadomości publicznej rzeczy, które rzekomo się tam działy, a któreby istotnie przynosiły hańbę

imienu polskiemu.” Zdaniem ministra te rzeczy „podaje się tylko dla celów politycznych”. Ilu jest odosobnionych w Berezie? Wniosków o wysłanie było 800, wysłano 250, obecnie odosobnionych przebywa 94.

Wniosek

W końcu (drugiej) mowy o Berezie minister Kościalkowski podkreślił: „Regulamin tam jest surowy, pobyt w Berezie — bardzo ciężki, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale znęcania się i sadyzmu w Berezie niema” (sadyzm oznacza podniecanie się zapomocą czynów okrutnych). W rozprawach poseł Bitner z Chrześcijańskiego Klubu Ludowego domagał się zwinienia obozu w Berezie. Narodowcy chcą o Berezie jeszcze mówić w sejmie na pełnym posiedzeniu.

Dochody

Dotychczas — od paru tygodni — pisaliśmy tylko o wydatkach. A jakże z dochodami? Mamy przecież monopole. Oczywiście, i zbierzemy z nich w ciągu roku 630 milionów, to znaczy trzecią część wszystkich dochodów państwa.

Tytoni za drogi

Najwięcej przynosi monopol tytoniowy: 330 milionów. Mało zużywamy rodzimego surowca; na mocy umowy pożyczkowej z Włochami, zawartej w r. 1924, musimy brać od nich duże ilości tytoniu, a płacić tyle, co płaci monopol włoski plus 10%. A ponieważ ceny tytoniu we Włoszech są wysokie, gdy np. w Bułgarii lub Ameryce niskie, więc właściwie przepłacamy i to grubo.

Losy i zapalki także

Ze spirytusu spodziewamy się osiągnąć 220 milj., ze soli 46 i pół miliona, z loterii 20 milionów (losy są za drogie!). Z zapalek ma skarb otrzymać 13 milj. Niebardzo dobrze wyszliśmy na wy-

dzierżawieniu monopolu zapalczanego obcym. Dostaliśmy wprawdzie pożyczkę od nich, ale utraciliśmy wywóz zapalek zagranicę. I co z dzierżawy monopolu dostaje skarb, to musi zwrócić na spłatę pożyczki „zapalczanej”. Konieczne jest obniżenie ceny zapalek.

Rocznica

Ale co tam znaczą wszystkie zapalki wobec jednej rocznicy: 26 stycznia minął rok od oświadczenia polsko-niemieckiego o wzajemnym pokoju na lat 10. Hitler

udzielił posłuchania dziennikarzowi polskiemu i między innymi powiedział: „Udało się nam przeprowadzić we właściwym czasie jedną z najbardziej ważkich poprawek historycznych”. Mianowicie? „Poprawiliśmy błędne mniemanie, jakoby między obu narodami stale i na zawsze miał istnieć stan wrogi, niejako dziedzicznie.” Niemcy i Polska „zobowiązane są do szczerzej współpracy”. Narodowy socjalizm nie zaniecha tej współpracy przemienić „powoli w trwałą przyjaźń”.

„Powoli”

„Powoli” bardzo to ważne słowo. Znamionuje ono nader ostrożnego polityka. Tak, i nam lepiej się nie spieszyć. Ale o tem, że Niemcy chcą z Polską rozwijać polityczne stosunki, świadczyłby przyjazd ministra Goeringa — na polowanie do puszczy białowieskiej. Francuzi ten przyjazd odczuli dość przykro. Pomawiają nas nawet o niewdzięczność. Zapominają tylko o jednym: że cała ich polityka powojenna była nawskroś samolubna i polegała głównie na obronie wszelkimi środkami i ich granicy.

Do naszych abonentów pocztowych!

Kto się spóźnił

z zamówieniem „Przewodnika Katolickiego” na miesiąc luty wzgl. luty-marzec b. r., niech uda się zaraz do najbliższego urzędu pocztowego, w którym może wznović przedpłatę jeszcze do 9-go lutego b. r. włącznie.

Prenumerata miesięczna wynosi zł 0,78, dwumiesięczna zł 1,56.

Abonenci otrzymujący pismo wprost z Administracji pod opaską płacą kwartalnie zł 2,70, miesięcznie zł 0,90.

Wszystkich naszych P. T. abonentów pobierających pismo wprost od nas w większych ilościach, uprzejmie prosimy o łaskawe jak najszybsze wniesienie przedpłaty na I kwartał b. r., najpóźniej do końca lutego b. r.

Gdynia staje się portem wielkiego państwa

Mimo trwającego przesilenia, ruch statków i przeładunków w porcie gdyńskim był w roku ubiegłym 1934, bardzo ożywiony.

Zaznaczyło się znaczne zwiększenie ruchu portowego w stosunku do lat ubiegłych. Poniższy wykres uwydatnia rozwój portu gdyńskiego. Dziś Gdynia wysunęła się na czołowe miejsce wśród innych portów na Bałtyku.



Port gdyński w roku ub. przeładował w przybliżeniu 6,3 milj. tonn wobec 5,15 milj. tonn w roku 1933.

Gdynia nadal zajmuje więc czołowe miejsce wśród portów bałtyckich, jeśli chodzi o wysokość przeładunku.

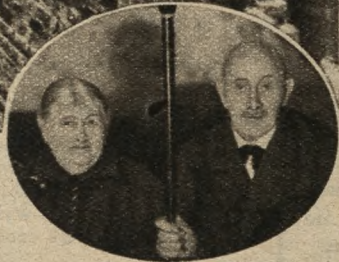
Procentowo jednak największy wzrost wykazuje konkurencyjny port w Szczecinie, którego ogólne obroty w roku ub. dosięgły wysokości 5,58 milionów tonn wobec 4,4 milj. tonn w roku 1933.



Z początkiem grudnia 1934 r. odbył się w Wilnie VII Zjazd Delegatów Związku Ociemniałych Żołnierzy Rzeczypospolitej. Nazajutrz w święto Niepokalanego Poczęcia delegaci byli na Mszy św., którą celebrował Ks. Metropolita Jalbryzkowski w kościele św. Teresy. Po nabożeństwie przeszedł z delegatami do Kaplicy M. B. Ostrobramskiej. Obrazek nasz przedstawia ociemniałych delegatów w kaplicy Ostrobramskiej. W głębi kłęczy Ks. Metropolita i odmawia z nimi litanję do Najsw. Panny.



Świczo wybuchł zatarg między Japonią a Chinami. Japończycy w prowincji mandziurskiej Czachar zaatakowali mur chiński, który ciągnie się na przestrzeni 2500 km (granice Polski mają długość 5534 km). Na obrazku widzimy japońskich żołnierzy na zdobytym odcinku muru. Times.



W owalu: Rządka uroczystość diamentowych godów obchodzili dnia 17. i. 1935 pp. Stefan i Gabriela z Sowińskich Mozolewscy. Jubilat ma lat 82, Jubilatka 79. Czci-godnym Jubilatom życzymy wszel-kich łask Bożych. Fot. Słońce, Wronki. (W. Schulz)

Związek Sowieć posiada ogromne bogactwa w Baku na Kaukazie, gdzie znajdują się obłite źródła naftowe. Na obrazku wi-dać szereg wież wiertniczych. Z jednej z nich bucha potężnym słupem wytrysk nowego źródła nafty. Presse-Photo.



Jedyny kapelusz

— Bój się Boga, Bonusiu, jakem ci życzliwy,
— Rzuć wreszcie gdzie do kąta to kapeluszydło,
— Kup sobie jakiś modny kapelusz uczciwy,
— Bo chodzisz po ulicy jak polne straszdyło!

Tak mówił mi Filipiek. Posлуchałem rady.
Zegnaj, mój wierny druhu, zastąpi cię nowy!
Obszedłem w mieście wszystkie pokolei składy,
By uczciwc nakrycie dobrąć do mej głowy.

Mierzę płaski, cylinder, miękki, stosowany.
Helm, beret marynarski, melonik, dziecięcy...
Ten za mały, ten siedzi jak na kij nadziany...
Mój najlepszy! O innym nie mówcie mi więcej!

„PRZEWODNIK KATOLICKI“ ILUSTROWANY TYGODNIK DLA RODZIN KATOLICKICH

z bezpłatnym dodatkiem dla dzieci „MAŁY PRZEWODNIK“ oraz z osobnymi działami „ROLA I OGRÓD“ i „SPRAWY KOBIECE“.

Przedpłata kwartalna wynosi za egzemplarze osobiste odbierane w ekspedycji naszego pisma i agencjach poznańskich 1.80 zł. Za egz. wysyłane wprost z Administracji w opasce pod adresem imiennym, w ilościach od 1 do 9 egz. po 2.70 zł, od 10 do 59 egz. po 2.35 zł, od 60 egz. wzwyż po 2.—zł za egz. — Dla abonentów pocztowych (bez opaski) przedpłata kwartalna wynosi 2.34 zł, miesięczna 78 groszy, dwumiesięczna 1.56 zł łącznie z kosztami manipulacyjnymi.

Pocztowe konto czekowe: Poznań P. K. O. nr. 206 084 „Przewodnik Katolicki“.

W sprawach dotyczących rękopisów i treści pisma prosimy zwracać się wyłącznie do Redakcji, w sprawach odnoszących się do przedpłaty, ekspedycji, pokrycia należności oraz ogłoszeń — wyłącznie do Administracji „Przewodnika Katolickiego“ w Poznaniu, Al. Marcinkowskiego 22, nie zaś pod osobistym adresem X. Redaktora.

Redaktor odpowiedzialny: X. Franciszek Forecki w Poznaniu. — Za reklamy odpowiedzialny: Ignacy Domański w Poznaniu.

W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajków i t. p. wydawnictwo nie odpowiada za regularne dostarczanie pisma i abonenci nie mają prawa domagać się niedostarczonych numerów lub odszkodowania. Nakładem i czcionkami Drukarń i Księgarni św. Wojciecha Sp. z o. o. w Poznaniu — na papierze z własnej fabryki papieru „Malta“.

Telefony 26 78, 22 41, 36 13, 36 14, 31 27.